POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień *Dnia 9-go grudnia 1944r.* **Rok VI. Nr. 49**

PISZĘ TYLKO DO RANNYCH

Różnie się teraz nazywamy: ranni, chorzy, pacjenci, szpitalnicy, kalecy, inwalidzi, błękitne wojsko, "biedne żołnierzyki". Różnie na nas patrzą: otwarcie, z boku, z podełba, ze współczuciem, z litością, z łezką albo bez. Ale to nie ważne. Ważne jest tylko to, że my sami, bez różnicy stopnia, w naszych myślach, rozmowach, pragnieniach i sposobie patrzenia na świat, nie przestaliśmy być — żołnierzami. I tym mocniej czujesz się żołnierzem, im ciężej zostałeś ranny i mniej masz szans powrotu do oddziału — jak tylu innych szczęśliwców — i im dłużej przeciąga się twój pobyt na szpitalnym przystanku.

Wszystko co drogie i piękne zostało tam: w twoim Korpusie, Dywizji, Brygadzie, Baonie, Kompanii czy Plutonie. Nikogo z nas nie razi, gdy w długie leżenia godziny, słyszysz z dalszych łóżek, zdecydowane twierdzenie, że właśnie Lotnictwo czy Marynarka, a nie Piechota, że właśnie ten a nie inny Korpus, że właśnie Karpacka, Kresowa, Pancerniacy lub Spadochroniarze a nikt inny. Że to najpiękniejsza, najmorowsza wiara, że twój Dowódca jest najlepszy, a żaden oddział nie bije się tak dzielnie jak ten jeden właśnie.

Masz rację, ma rację twój sąsiad, i ja, i on i każdy z nas. Bo tak już jest — że dla każdego dobrego żołnierza, najlepszy oddział jest jego własny. Dla rannego specjalnie. I ta więź jest obustronna. Choć ranny, z oddziału nie odpadłeś. Widzisz to po oczach zdrowych, odwiedzających cię kolegów, że się nic między wami nie przerwało. Tam cię nie tylko zapisali do kroniki kompanii. Właśnie dlatego, że cię nie ma — jesteś, bo cię brakuje. Żyjesz w opowiadaniach plutonu, zostałeś zaliczony do tej starej, dobrej wiary, która może wróci, może nie, ale z której wówczas, poprzednio to "naprawdę było wojsko".

Dziś nas kryje błękitna szpitalna bluza, o ile nie bandaż, czy gips. Błękitne wojsko.

Czy wiesz co mówi i czuje ranny? To co ranny mówi słyszysz w dzień. Głównie na dwa tematy. Pierwszy to psioczenie na szpital i lekarzy — przy czym im lepszy szpital, lepsi lekarze, czulsze siostry, tym więcej wypada narzekać, stawiając za wzór szpital poprzedni lub inny; temat drugi to bój i życie w oddziele.

Ale to, co ranny czuje, co chowa głęboko w sercu usłyszysz w nocy. Kiedy się świeci małe, starannie osłonięte światło na stoliku siostry nocnej, kiedy w sali ciemno, a z korytarza tylko blask nikły prześwieca, kiedy o dach namiotu szpitalnego w Italii biją nieregularne krople jesiennego deszczu, słuchaj słów wyrywających się ciężko ze spieczonych warg. Płyną zewsząd długie, wyraźne rozgowory nocne. Od łóżka do łóżka idź, ujrzysz świat marzeń, pragnień, tęsknot i przeżyć.

Idziesz z nimi z patrolu w zasadzkę, z obrony w natarcie na otwartej przestrzeni lub w ciasnych przejściach wśród rumowisk — pełnych gwizdu rekoszetowych kul. W nocy możesz wybierać: albo z piechotą, z *Tommy-gunem* nastawionym na serię i palcem na spuście, z granatami o odgiętych zawleczkach, z zabłoconą, zmiętą, zmęczoną, ale zawsze niezawodną, zawsze pewną piechotą. Albo z saperami. Z tymi, co niezmordowanie rzucają na przeprawy wodne, ciągle przez artylerię rozbijane człony. Albo z pancerniakami na patrol czy natarcie.

I tak odbitym obrazem przeszłości i jednym marzeniem przyszłości — wrócić do oddziału — żyje błękitne wojsko rannych.

Marzenie powrotu setki ich urzeczywistnia: przywożą go, leży niby bez życia, machną mu operację albo i nie, po kilku dniach półtrup ożywa, po tygodniu robi awantury z siostrami, po dwóch flirtuje i chodzi, a za miesiąc wali pocztówkę z domu uzdrowieńców: Hurra chłopcy dziś wracam do oddziału.

A ty — leżysz. Wloką się długie tygodnie i miesiące. Trudno. Mogło by być gorzej, bo żołnierz z losem umowy nie pisze. Ewakuują cię dalej. Nowe obrazy, nowe wrażenia, nowi ludzie. Narasta milarz wspomnień spokojnych. Tak jest tutaj. U nas. A u nich?

Pytasz, kto to — Oni? Oni — to ranni żołnierze polscy z 3,4 czy dalszych korpusów w kraju, to jego syn, twój brat, mój ojciec. Jakiś najbliższy każdego z nas. I pamiętaj, że w słowie "Oni" nie ma przeciwstawienia do słowa "My". Bo jedno i drugie pojęcie jest niekompletne, bo dopiero razem stanowimy jedność — stanowimy całość. Nie ma różnic. Jeden wspólny cel nam przyświeca, jednego wspólnego Dowództwa i jednych wspólnych rozkazów słuchamy. Jednakowo czujemy, kochamy i nienawidzimy i umieramy za jedno i to samo. Jedna się krew leje tu i tam.

Różne są tylko warunki życia i warunki walki. I to powoduje, że różnie się te same rzeczy nazywają tu i tam. Byłeś kiedy zwierzyną, na którą ktoś poluje? Byłeś. Musiałeś być choć jeden raz, przy przechodzeniu nocą jakiejś granicy. Albo we Francji. Zresztą wszystko jedno gdzie. Pamiętasz to wyostrzenie nerwów i napięcie mięśni? Pamiętasz jak nagle stwierdzałeś, że działa w tobie coś nowego, podświadomego, coś co było przedtem jakby uśpione? Pamiętasz te noce czujne? to uczucie niepokoju alarmujące o niebezpieczeństwie? To było może raz, może kilka razy. Ale jak sądzisz? Długobyś tak potrafił wytrzymać? A oni tam tak codziennie. Codziennie to samo napięcie, to samo ciągle uczucie — polują na mnie i na moich najbliższych.

A jednak pomyśl, że w tych warunkach — jednakowych dla wszystkich odbywało się to, co my rozumiemy jako nudny okres: organizacja. Tu — namioty spokojne w krąg. Jesteś wyspany. Zjadłeś dobre śniadanie. Wołają na zbiórkę. Przyznaj — niebardzo ci się chciało nieraz wychodzić. Jeszcze ze dwa razy szef albo służbowy cię pogonił. A wiesz, tam — na zbiórkę trzeba chodzić milami w noc po ciężko przepracowanym dniu, aby zarobić na śniadanie przyniesione z sobą na nocną zbiórkę czy ćwiczenia. Pamiętaj, w noc, w której za otwarcie drzwi na ulicę grozi ci śmierć.

Tu i tam nazywa się to: ćwiczenia.

Różne mieliśmy koszary: murowane, drewniane, beczki śmiechu i namioty od jednoosobowych do cyrków, od ogrzewanych do namiotów — chłodnic oblewanych wodą. Ale chyba jeden typ: ziemianka wkopana w ziemię, wzoru znanego, przypomina najwięcej to, co jest zwyczajnym miejscem zakwaterowania — tam.

Wyposażenie? Tu łatwo: wołają cię do magazynu i wymieniasz: letnie sorty na zimowe, dostajesz na święto i na codzień, od zimna i deszczu osobno. Wymieniasz podarte na nowe, nowe dopasujesz u krawca. Tam — jeśli nie masz własnego od pięciu lat zużytego ubrania, pozostaje jedno: zaopatrzyć się u nich, w niemieckim magazynie. Tylko poprzednio trzeba go zdobyć. Czym?

U nas to łatwo. Kompania zaopatrzenia przywiezie ci etatową piękną, wypróbowaną broń. Wyszkolony instruktor dokładnie ją objaśni. Amunicji dostaniesz jakiej dusza zapragnie, strzelnica szkolna, ćwiczenia ostrymi, ćwiczenia polowe. Masz wszystko i wszystko znasz.

A tam Oni — zębami zdobywają kb, karabinem resztę, a zdobyczne *Spandau'y* za całe wsparcie im służą. Oni szkolą się w walce, w walce zdobywają amunicję na zdobycie płaszcza czy niezbędnego sprzętu. Walczą systemem powstańczym: uderz, rozbij, zagarnij i zniknij. A jednak potrafili związać tyle dywizji, tyle bitew wygrali i tak długo i mocno mieli w rękach Warszawę.

Po okresie walk idziesz do odwodu. Ich odwodem i wypoczynkiem znowu uniki przed pogonią, przed szczuciem, przed tropieniem zaciekłym i nieubłaganym.

* * *

Kiedy w gorączce pooperacyjnej przymykam oczy, film wspomnień szpitalnych odwija się szybko. Widzę: długie białe sale, pełne słońca i powietrza, małe pokoje gorące i duszne od lekarstw, smrodu ran i gorących oddechów, brązowe, brzydkie namioty o podwójnym dachu i rzędzie słupów na przejściu, sale szkolne pełne łóżek z globusem na szafce z lekarstwami, wysokie sale gimnastyczne, z łóżkami z madejowych wyciągów, długie korytarze, na których cień ram okiennych ponurymi krzyżami kładzie się na kaflach posadzki, kościoły z mozaiką na ścianach i mozaiką gwiazd nad głową widnych w dziurach gotyckiego stropu.

Poruszenie łóżka rozbija poprzednie obrazy. Wożą *"tea"*: w skrzypieniu wózka słyszę szpitalny transport — nosze skrzypią, skrzypią, długi łańcuch noszowych ciągnie w dół, w dół, od punktu do punktu, w pociskach i świście. Wynieśli cię z linii.

Nie, to łan kukurydzy zielonej. Nie czas szukać flagi, trudno, krew z niego ucieka, szkoda chłopca, weź go na płaszcz z tamtego trupa. Dalej. Przez ostatni pagórek idziesz w podrzutach szybkiego kariera. Bantam, bantam ze znakiem "Świerka". Przywiązują cię pasami. W to właśnie zranione miejsce pas uciska. Ale już nic. B.P.O. Potem już dobrze. Wszystko ci jedno. Jedziesz. W.P.O. — G.P.O. — czy W.C.C. za każdym razem nosze i sanitarka. Potem coraz dalsze szpitale. Zmieniają się sanitarki, polskie i angielskie. Zaśniesz w pociągu sanitarnym, zbudzi cię warkot samolotu, co cię unosi dalej.

Potem segregacje, papiery przywiązane do palca wielkiego u nogi, operacje, gips. Czekanie jałowe. Żegnaj Italio — luksus holenderskiego statku sanitarnego — Szkocja. — Ktoś nade mną stoi, nade mną się nachyla, coś mówi, nie wiem kto i w jakim języku.

Dobrze nam — rannym. Niczego nie brakuje, wszystko jest, wszystko co potrzeba na zawołanie. Sale operacyjne błyszczące i białe. Narzędzia srebrne stale gotowane. Rentgeny, skomplikowane ciemnie, gipsiarnie zakurzone, masaże, naświetlania, terapie elektryczne, diety odżywcze, wzmacniające, posilne wina, owoce.

Inspekcje, wzorowa czystość, raporty, opisy, karty chorób, termometry, konsylia.

Tak jest z nami. A tam Oni?

* * *

Pomyśl, tam ktoś został ranny. Co zrobić? odstawić go do tyłu? Ależ tam nie ma tyłów, tam jest wszędzie front, linia ognia, przestrzeń walki. Zostawić? Należy do "bandytów polskich". Wynik pewny. Śmierć. Bo chyba nie wierzysz, że pomimo zapewnień Berlina, S.S. Gestapo uzna go za "żołnierza" i przeciwnika i że go będą leczyć tak, jak leczą Niemców, leżących niestety na jednej sali ze mną.

Tak, ktoś został ranny. Tak jak ty i my wszyscy. Dokąd go odwieźć chyłkiem i ukradkiem? Do szpitala? Ale kto z zaborców pozwoli wziąć do szpitala rannego "bandytę"? Czy można zapisać postrzelone piersi jako zapalenie płuc? Zostaje leczenie prywatne, po ziemiankach, lasach i domach prywatnych. Po domach. A jeśli tych rannych z kilkudniowej bitwy jest stu? Sto domów? A opieka lekarska? Lekarstwa? jedzenie?

Czytałeś — w Warszawie były szpitale, czytałeś — kładło się ich w podziemiach, w ciemności, pokotem, na podłodze, bez pościeli. Zapasy opatrunków szybko się wyczerpały. Pomocy nie było. Brak narzędzi lekarskich. Uważaj: operacje przy świeczkach bez narkozy.

Tyś to źle przeczytał. Czytaj jeszcze raz wolno, wolniusieńko: operacje bez narkozy. Wyobraź sobie, że to nie ktoś, ale ty właśnie jesteś ranny. Krew z ciebie upływa, przystępuje lekarz i tę ranę co masz, teraz robią ci przy świeczkach bez narkozy.

Potem niewiele opatrunków i lekarstw, nie mogli ci zmienić brudnej, skrwawionej bielizny. Mów sobie wolno: to mnie wszystko spotyka — a łatwiej zrozumiesz ten koszmar.

Czyś pomyślał ile krwi każdy z nich musiał utracić? Tam lekarz nie rozwiązał tego jednym prostym słowem: transfuzja. I jeśli po tym wszystkim ranny wyżył, to czym mu przywrócić siły, jeśli "zdrowy" słania się z głodu?

Popatrz wokół siebie, zrób bilans wszystkiego coś dostał od chwili zranienia, wszystkiego co mogło ci przynieść pomoc lub ulgę i powiedz sobie głośno i dobitnie: Oni tam nie mają nic, nic, nic.

Wiem, że tutaj zdrowi, którzy nie byli nigdy ranni, niebardzo nas rozumieją. Ale Ich, rannych tam, to tylko ty możesz zrozumieć — ty ranny, który masz wszystko.

I dlatego myślę, że nam nie wolno przejść nad tym do porządku, nie wolno nam skończyć myśli jałowym współczuciem, ale postanowieniem i decyzją — pomocy.

Jest grudzień, a w grudniu święta Bożego Narodzenia. Wilia, biały obrus, siano pod obrusem, długi stół, opłatek, drzewko; świeczki, Aniołek z dzwonkiem. Pewnie, że smutne, z rzewnym wspomnieniem, szczerym wzruszeniem, żalem prawdziwym, że kogoś bliskiego brak. Ale syte, ale obżarte, ale opite. No *Xmas* i koniec.

No, my ranni będziemy mieli wcale nieźle. Rzec można świetnie. Żal porusza czule, dobre struny. Komuż pomóc, jak nie tym, co w Święta leżą w szpitalu? Takie "biednie żołnierzyki". Tu Święta, a oni leżą. I z obowiązku, zwyczaju i prawdziwej chęci pomocy ruszy w zawody współczucie prywatne i społeczne.

* * *

Na tym wielkim cmentarzysku, co się teraz Polską nazywa nie ma domu, gdzie by nie noszono osobistej żałoby po stracie kogoś najbliższego. Święta będą, na pewno będzie wilia i będzie opłatek. Może nie na białym obrusie, bo obrusy dawno oddano na bandaże. Nie będzie też tego wszystkiego, co my znamy pod pojęciem Świąt i Gwiazdki.

Ale jedno wiem i wierzę, że jeśli prócz opłatka, będzie w jednym domu polskim — na wilię — kawałek chleba suchego, to go w ten Wielki Wieczór Miłości i Braterstwa podzielą z żołnierzem, podzielą z żołnierzem rannym.

* * *

Przyznam się, że trochę mnie krępuje wyciągnięcie ostatecznego wniosku, jeśli przypomnę sobie /nie znając ofiarności tu na wyspie/, że jedna tylko składka w II Korpusie wyniosła w przeliczeniu na złote: około 3 miliony. Ale wiem, że nie wyciągnąć właściwego wniosku nie wolno. Nie wolno nam rannym. Tu są tylko dwa rozwiązania: 1/ mamy i nie damy, 2/ mamy i damy.

Mnie się zdaje, żeśmy powinni wybrać to drugie. Bez względu na to ile, jak często i na co poprzednio daliśmy. Damy ze świadomością, że to nie pomoże rozwiązać tego strasznego zagadnienia. Nasze składki będą tylko wyrazem zrozumienia i uczciwego spojrzenia na ich bezgranicznie ciężką sytuację.

Więc? Damy. Ale jeśli już dawać, to zaraz od razu i bez układów, że jutro, że za tydzień. Ile? Sądzę, że mniej nie "uchodzi", jak dekadowy żołd lub gaża w tym stosunku.

Jeśli zaraz mamy dać, to nie jutro ale zaraz zażądajmy od świetliczarek lub poczty szpitalnej *"Postal Order"* na kwotę, którą chcemy przesłać. Kwoty składki wyślijmy tu, do "Polski Walczącej", a w Italii do "Orła Białego", w Egipcie do "Parady" słowem do najbliższej redakcji żołnierskiego pisma. Składamy na "Błękitny fundusz gwiazdkowy Rannych dla Rannych Armii Krajowej". Określimy z góry okres składek: do końca stycznia 1945 r.

Jeżeli jednak przyjmujemy fakt istnienia takiego funduszu i my sami na niego składamy, wyciągnijmy dalsze konsekwencje:

1/ prośmy nasze kierownictwa szpitali, aby wszystkie dodatkowe wydatki na Święta, poza wilią w najskromniejszych ramach ofiarowano na ten cel. 2/ Prośmy odwiedzających nas okresowo delegatów i delegatki instytucji filantropijnych i społecznych, aby fundusze przeznaczone na podarki, przysmaki i przyjemności przekazano na "Błękitny Fundusz", w imieniu rannych danego ośrodka. 3/ Prośmy wszystkich, którzy nas odwiedzają, a przede wszystkim znajomych prywatnych, aby zamiast wszystkich dodatkowych urozmaiceń naszego życia poparli "Błękitny Fundusz". 4/ Bądźmy konsekwentni, zdecydowani i uparci w popieraniu "Błękitnego Funduszu", którego wysokość jest wspólną naszą ambicją. 5/ Prośmy, aby dochód ze wszystkich imprez na terenie szpitali polskich był w okresie do końca stycznia przekazywany na "Fundusz". 6/ Dla ułatwienia — uprośmy na każdej z sal i namiotów jednego z kolegów, aby wziął na siebie obowiązki kuratora "Funduszu".

To wszystko. Jeżeli by koledzy mieli projekty rozszerzenia akcji, piszcie do redakcji.

Czołem — koledzy.

TADEUSZ JERZY BULSIEWICZ

Przegląd tygodniowy

FRONT ZACHODNI

Walna bitwa na zachodzie trwa. Armie Dempsey'a, Simpson'a i Hodges'a prowadzą nadal główny wysiłek przełamujący. Po opanowaniu rejonu Akwizgranu prą dalej na Kolonię. Zacięte walki trwają; Niemcy kontr-atakują. Komunikaty prasowe coraz częściej wymieniają rzekę Roer, do której dochodzą oddziały, walczące na kierunku Kolonii.

Od północy wysiłek główny osłania 1 armia kanadyjska. W jej ramach walczy Dywizja Pancerna gen. Maczka. Onegdaj marszałek Montgomery dekorował dowódcę oraz oficerów i szeregowych tej dywizji wysokimi odznaczeniami brytyjskimi. Gen. Maczek w imieniu Prezydenta R.P. udekorował marszałka Montgomery'ego Srebrnym Krzyżem Orderu "Virtuti Militari". Uroczystość była wyrazem wzajemnego szacunku dla cnót wojskowych, jaki żywią dla siebie żołnierze brytyjscy i polscy. Szacunek zrodził się na polach bitew.

Na południu poważnym ogniskiem walk jest teren Strassbourga. Jest zarazem terenowym punktem dokonanego rozdziału sił niemieckich. Piękna współpraca armii amerykańskich 3 i 7 przyczynia się wybitnie do szybkiego postępu działań, mających na celu likwidację części sił niemieckich na północ od Strassbourga, zaś współdziałanie sił 1 armii amerykańskiej z 1 armią francuską — ma podobny cel w stosunku do części sił niemieckich, które znalazły się na południe od Strassbourga.

Działania na tych terenach noszą charakter wybitnie ruchowy, manewrowy. Mówi się dużo o możliwościach okrążeń części sił przeciwnika, a odwrotnie — ze strony niemieckiej — o możliwościach zagrożenia komunikacyj sojuszniczych celem sparaliżowania manewru.

Dotychczas podawane oceny o powolnym, ale bardzo skutecznym wysiłku głównym, na północy, o szybkich i pełnych doraźnych sukcesów ruchach na południu pozostają bez zmian — w odniesieniu do charakterystyki w ramach frontu zachodniego. Jeśli chodzi o jego całość w odniesieniu do innych frontów — to już ten pobieżny rzut oka na przebieg działań frontu zachodniego wskazuje, że ten "drugi front" wybija się coraz poważniej na pierwsze miejsce.

INNE FRONTY

We Włoszech ruch Sprzymierzonych naprzód, aczkolwiek powolny — trwa. Zbliżenie się do Faenzy, mimo wszelkich trudności i oporu przeciwnika jest widoczne.

Walczący tam II Korpus Polski, na równi z korpusami sojuszniczymi boryka się z trudnościami terenu, wzmożonymi przez warunki klimatyczne przykrej włoskiej zimy. Udział naszego Korpusu w walkach na froncie włoskim, za niespełna dwa miesiące — dobiegnie roku.

Specjalne warunki tego teatru działań sprawiły, że walczące tu wojska natrafiły na wielkie trudności. Spowodowało to, z jednej strony — możliwości oparcia obu skrzydeł frontu niemieckiego o morze, a z drugiej — górzysty, często dziki teren /skały, przepaście/. Teren ten nie pozwala na wykorzystanie przewagi alianckiej w sprzęcie, a przede wszystkim na pełne wprowadzenie do akcji dywizyj pancernych. Stąd zadanie opóźnienia, jakie sobie postawili Niemcy, jest niezmiernie ułatwione. Szereg ufortyfikowanych niemieckich linii obronnych, które na długie miesiące powstrzymały posuwanie się sił alianckich sprawił, że opóźnianie niemieckie stało się jeszcze bardziej skuteczne. Zmusiło to Aliantów do częstych bitew, nieraz niezmiernie kosztownych /Cassino/, gdyż tylko za tę cenę ruch stał się możliwy.

Teraz, gdy Nizina Lombardzka zaczyna się ścielić u stóp zmęczonego długą walką żołnierza, a Apeniny z koszmarną pozycją linii Gustawa i Adolfa Hitlera, oraz pozycją linii Gotów — są już za jego plecami — warto podkreślić ten trud krwawy, który II Korpus Polski włożył do wspólnego wysiłku sojuszniczego.

Na Bałkanach nie zaszły żadne poważniejsze wydarzenia.

Na froncie wschodnim, w przeciwieństwie do frontu zachodniego — nie można zanotować działań w większym stylu. Istniejących kilka lokalnych ognisk walki można ująć — idąc od północy ku południowi — następująco:

Na odcinku fińskim działanie od wschodu na Kirkenes — jest w toku. Prawie cała północna część fińskiej Laponii została oczyszczona z Niemców.

"Times" z dnia 25 b.m. podaje rozkaz dzienny marszałka Stalina, z którego wynika, że ukończono już usuwanie Niemców z południowego cypla wyspy Ozylia. W ten sposób zlikwidowano punkt oporu, blokujący wejście do Zatoki Ryskiej.

Na Łotwie walki o charakterze lokalnym.

W Prusach i ogólnie na linii Narwi — stabilizacja. Podobnie na odcinku średniej Wisły, gdzie zanotowano jedynie akcję patrolową z przyczółków, posiadanych na zachodnim brzegu rzeki.

Na terenie Słowacji widoczne postępy ku Zachodowi na Koszyce i Preszów, gdzie działa armia gen. Pietrowa. Współdziała z tym wysiłkiem od północy marszałek Koniew.

Gen. Malinowski opanował Eger.

Na odcinku Budapesztu nie notowano walk; odbywały się bardziej na południe, gdzie — po zdobyciu Mohacza — jednostki, podległe marszałkowi Tołbuchinowi skierowały cały wysiłek na Ples. Najbliższe dnie prawdopodobnie wskażą, czy skierują się one wprost na zachód, czy też przejawią dążność manewru bardziej ku północy,. ażeby działać na skrzydło i tyły sił niemieckich, broniących odcinka Budapesztu.

Oceniając ogólnie wszystkie fronty przeciw-niemieckie, należy stwierdzić, że ruch ich, choć powolny — jest stały. Zbliżają się one ku centrum Niemiec. Niedługo zetkną się zapewne ich skrzydła. Ale już dzisiaj można bez większego ryzyka twierdzić, że wobec małego prawdopodobieństwa istnienia rezerw strategicznych w Niemczech — próba z ich strony zlikwidowania /w sposób decydujący/ któregokolwiek z frontów — jest już raczej nierealna.

To położenie nasuwa mimowoli pewne porównania historyczne.

PORÓWNANIA HISTORYCZNE

Strategia Adolfa Hitlera doprowadziła Niemcy do zamknięcia w twierdzy, która coraz mniej jest "europejską", a coraz bardziej zacieśnia się do ziemi niemieckiej. Jeszcze tak niedawno był on pod Moskwą, a jeden z jego najzdolniejszych marszałków u wrót Aleksandrii. A przedtem jeszcze, tuż po pobiciu Francji, miała się odbyć inwazja Wysp Brytyjskich.

Moskwa, Aleksandria, niedoszła inwazja Wysp Brytyjskich . . . Przecież to raz już było. A raczej było podobnie. Nie będę sprawiał przykrości historykom i mówił o powtarzalności faktów historycznych. Wystarczy ich podobieństwo. A więc przypomnijmy sobie:

Kiedy Bonapartemu nie udało się ugodzić w Anglię na jej drodze do Indyj i kiedy wyprawa egipska skończyła się niepowodzeniem, postanowił w roku 1805 wymierzyć cios w serce, dokonać inwazji wysp. Nie doszło do niej. Nelson zniszczył flotę. Zastępcze "płaskie łodzie" nie wytrzymały próby życia, wywracała je byle większa fala na Kanale.

W tymże roku jeszcze wprawdzie weszło "słońce Austerlitzu", ale to nie swego wroga nr. 1 pokonał tam Napoleon, raczej wrogów nr. 2 i 3: Austriaków i Rosjan. Przy czym nawet na polu bitwy nie zaniechał polityki, oszczędzając cesarza Aleksandra I /Rosjan/, a godząc głównie w Austriaków. I to nie pomogło, bo po zwycięskich latach 1806 i 1807 oraz jeszcze 1809 roku — przyszedł rok 1812. I mimo, że Cesarz sięgnął dalej, niż Hitler — był na Kremlu — musiał się cofnąć. Musiał się cofnąć zgodnie z zasadami strategii, które głoszą, że zdobycze terenowe nic nie stanowią, że tylko zniszczenie żywej masy sił przeciwnika jest istotne. Okupowanie terenów tylko przy pobiciu sił przeciwnika i odrzuceniu ich — zmusza napastnika do obrony olbrzymich obszarów, co pociąga za sobą rozproszenie sił własnych. To z kolei pobitemu, ale niezniszczonemu wrogowi daje warunki reorganizacji i powrotu na pole bitwy w dowolnym czasie i miejscu.

Ani Napoleonowi w roku 1812, ani Hitlerowi w latach 1941-43 nie udało się zniszczyć sił rosyjskich. Obaj ruszyli na Rosję rezygnując z inwazji Wysp Brytyjskich.

Przy czym pierwszy poszedł na Rosję z "hiszpańską kulą" u nogi /niezlikwidowane powstanie hiszpańskie, oparte o siły ks. Wellingtona/. Drugi, po pozornym zwycięstwie pod Dunkierką /z której ocalało gros żywych sił brytyjskich/ — skierował się na ten sam szlak.

Odwroty z Rosji nastąpiły z nieubłaganą konsekwencją.

Napoleon, po kampanii wiosennej 1813 roku, znalazł się w jesiennej pod Lipskiem. Kiedy próba pobicia jednego z przeciwników zawiodła — cesarz znalazł się niemal otoczony, gdyż nawet kierunek najkrótszy — na zachód — do Francji, miał tylko względną wartość. Komunikacje napoleońskie nie szły tamtędy.

Hitler po odwrocie z Rosji znalazł się w "twierdzy". Próba strategicznego pobicia jednego z przeciwników jest już w tych warunkach nierealna. Jego odwody zaczynają taktycznie łatać lokalne dziury we frontach.

Podobieństwo z położeniem Napoleona pod Lipskiem jest widoczne. W erze błyskawicznych rozstrzygnięć nie będziemy zbyt długo czekali na hitlerowskie Waterloo.

ZASTĘPCA

Z tygodnia na tydzień

27 listopada: Nad Niemcami lotnictwo amerykańskie stoczyło wielką bitwę powietrzną z lotnictwem niemieckim. W walce brało udział około 900 samolotów. Strącono 98 samolotów niemieckich.

—Oddziały II Korpusu posunęły się naprzód między rzekami Marzeno a Lamone.

—Lotnictwo amerykańskie bombardowało Tokio.

—Edward Stettinius został sekretarzem stanu /min. spraw zagr./ Stanów Zjedn.

28 listopada: Patrole amerykańskie dotarły do rzeki Roer w Niemczech.

30 listopada: P. Kwapiński zrzekł się misji tworzenia rządu. Nowy rząd utworzył p. T. Arciszewski.

—Wojska sowieckie przekroczyły Dunaj w kilku miejscach na płd. od Budapesztu, zajmując Mohacz, Pecs i Bataszek.

—Naczelny dowódca Ekspedycyjnych Sił Zbrojnych Sprzymierzonych gen. Eisenhower odwiedził oddziały polskiej Dywizji Pancernej.

—Niemcy silnie kontratakują na różnych odcinkach frontu zachodniego.

—Ponad 1200 bombowców amerykańskich, osłanianych przez około 1000 myśliwców, bombardowało zakłady przemysłowe koło Lipska. 53 samoloty nie powróciły.

—Wojska sowieckie zajęły Eger na płn.-wsch, od Budapesztu i Szikszo na płn.-wsch. od Miszkolcu.

—W Kanadzie wybuchły rozruchy na tle sprawy poboru do wojskowej służby zamorskiej.

1 grudnia: Wojska amerykańskie dotarły do rzeki Saar w rejonie m. Merzig.

—W nocy z 30.XI./1.XII. lotnictwo brytyjskie bombardowało b. silnie Duisburg. Zrzucono 2000 ton bomb w ciągu 20 minut.

—Ogłoszono szczegóły działań Armii Krajowej na Podkarpaciu.

2 grudnia: Wojska sowieckie zajęły na Węgrzech Paks, Dombowar, Kaposzwar i Szekszard.

—Generał de Gaulle przybył do Moskwy z oficjalną wizytą wraz z ministrem spraw zagranicznych Bidault.

3 grudnia: Wojska amerykańskie przekroczyły rzekę Saarę w mieście Saarlouis. Walki toczą się we wschodniej części miasta.

—Wojska sowieckie zajęły Miszkolc i Saturalia Ujhely na Węgrzech.

—W Atenach komuniści wywołali rozruchy. W starciach z policją wiele osób zostało zabitych i rannych.

Ś.P.
JUDKOWIAK EDWARD Kapitan W.P.
ur. 14.II.1914 r. w m. Goraj woj. Poznańskie
Kawaler Orderu "Virtuti Militari", poległ na Polu Chwały w walkach 1 Dywizji Pancernej w dniu . . .XI.1944 r. w Holandii
Pochowany na cmentarzu Gineeken,
o czym zawiadamiają
Dowódca i Oficerowie Baonu Strzelców

Ś.P.
JUDKOWIAK EDWARD Kapitan W.P.
ur. 14.II.1914 r. w m. Goraj woj. Poznańskie
Kawaler Orderu "Virtuti Militari", poległ na Polu Chwały w walkach 1 Dywizji Pancernej w dniu . . .XI.1944 r. w Holandii
Pochowany na cmentarzu Gineeken,
o czym zawiadamiają
Przyjaciele i Koledzy.

Wojna na morzu

BITWA, KTÓREJ NIE BYŁO

Powoli zaczyna się przejaśniać na temat pierwszej bitwy pod Filipinami. Bitwy tej, opisanej przez Japończyków jako wielkie zwycięstwo w dniach 13-14 października . . . wogóle nie było.

Po prostu III-cia flota admirała Halsey'a wspierała swoje lotnictwo, bombardujące Formozę. Japończycy wysłali przeciwko niej własne lotnictwo z lądu. Jak to często bywa w takich wypadkach, lotnicy lądowi nie orientowali się dobrze i słabo działali nad morzem. To też wysłali do Tokio entuzjastyczne raporty o zatopieniu 2 pancerników, 15 lotniskowców i różnych innych jednostek. W istocie kilka lekkich i średnich okrętów amerykańskich odniosło uszkodzenia, nie wpływające poważniej na bieg operacji.

Zaalarmowana tryumfalnymi sprawozdaniami lotników flota japońska wypłynęła by "wykończyć" wroga. W międzyczasie adm. Halsey, zakończywszy swą akcję zniszczeniem 56 jednostek pływających i 396 samolotów nieprzyjaciela, odpłynął ku Filipinom. Flota Mikada płynęła za nim całą siłą pary, a radio tokijskie wołało już na świat o haniebnej ucieczce i klęsce Amerykanów.

Gdy jednak lotnictwo morskie floty japońskiej weszło w grę, wówczas jego bardziej doświadczeni obserwatorzy spostrzegli w porę omyłkę swych lądowych kolegów. Przed ich oczyma roztoczyła się cała, bynajmniej nie zmniejszona, potęga III floty U.S.A., za którą /o czym nie wiedzieli/ stały jeszcze floty V-ta i VII-ma.

Toteż flota japońska zebrała swe samoloty i na razie zawróciła, wyczerpawszy część swych zapasów w bezpłodnym pościgu. Admirał Halsey oświadczył zaś ironicznie: "Wszystkie okręty zatopione przez Japończyków, zostały podniesione z dna morskiego i wycofują się pełną szybkością w kierunku . . . floty japońskiej".

To nie był żart. Bo Halsey zmieniwszy kurs, dokonał szeregu bombardowań na wyspie Luzon /Filipiny/ oraz na kilku pomniejszych wysepkach.

BITWA, KTÓRA BYŁA

Jak pisaliśmy, właściwie były trzy bitwy pomiędzy III flotą adm. Halsey'a i VIII adm. Kinkaida ze strony amerykańskiej, a trzema eskadrami o różnych siłach ze strony japońskiej. Odbyły się one 23-26 października, to jest w pierwszej fazie desantu gen. Mac-Arthura na Leyte i Samar.

Siły japońskie, zdążające z trzech stron celem przeszkodzenia desantowi, natknęły się na kordon amerykańskich okrętów podwodnych /o tym w prasie codziennej nic nie było/. Okręty podwodne /a nie samoloty/ pierwsze zawiadomiły Halsey'a i Kinkaida o zbliżaniu się nieprzyjaciela. Było to w nocy z 22 na 23 października.

Pierwsze torpedy okrętów podwodnych zatopiły dwa krążowniki z eskadry płynącej od strony Chin. Dwa inne okręty zostały uszkodzone. Amerykanie stracili tu jeden okręt podwodny.

Floty amerykańskie zostały zaalarmowane. Samoloty z lotniskowców odnalazły rankiem 24 października dwie silne eskadry przeciwnika, płynące z zachodu i południowego zachodu. Istnienie trzeciej eskadry, płynącej z północy /z Japonii/ zdradziły jej własne samoloty, atakujące lądujących na Leyte Amerykanów. Atak został odparty z niewielkimi stratami; odparte zostały także ataki lotnictwa lądowego, łącznym działaniem okrętów i samolotów floty.

Siły japońskie liczyły ogółem 9 pancerników, 20 krążowników, 30 kontrtorpedowców, 8 lotniskowców oraz pewną ilość okrętów podwodnych i pomocniczych. Flota adm. Halsey'a podążyła na ich spotkanie, poprzedzona własnym lotnictwem. W bitwie, która się wywiązała, uczestniczyło 5 pancerników U.S.A., rzekomo zniszczonych w r. 1941 w Pearl Harbour przez lotnictwo japońskie.

25 października walki trwały w trzech rejonach, na zewnątrz i na wewnątrz archipelagu Filipin. Japończycy zostali na głowę pobici. Adm. Halsey musiał jednak przerwać pościg aby nie oddalać się zbytnio od własnego ośrodka strategicznego na Leyte. Osłona desantów była głównym zadaniem obu flot amerykańskich.

Dodać tu można, że jedna z eskadr japońskich została wciągnięta w pułapkę koło cieśniny Surigao. Zapędziwszy się za kontrtorpedowcami i patrolowcami amerykańskimi, wpadła ona pod skoncentrowany ogień artyleryjski i torpedowy około 30 okrętów. Została więc prawie całkowicie zniszczona, a okręty lekkie i samoloty U.S.A. wykańczały w dniu 26 października uszkodzone okręty japońskie.

Według danych amerykańskich, Japończycy stracili ogółem 2 pancerniki, 4 lotniskowce, 8 krążowników i 5 kontrtorpedowców, 1 pancernik, 5 krążowników i 7 kontrtorpedowców zostało ciężko uszkodzonych. Zestrzelono ponad 100 samolotów.

Straty amerykańskie wyniosły: 1 lotniskowiec floty, 2 lotniskowce pomocnicze, 3 kontrtorpedowce, 1 patrolowiec, 1 okręt podwodny i kilka jednostek pomocniczych oraz 32 samoloty.

Cel strategiczny został osiągnięty i desant zabezpieczony. Wszystko to zaś działo się tym razem na wewnętrznych i trudnych wodach archipelagu Filipin, w odległości 8000 mil od brzegów Ameryki.

JESZCZE O "TIRPITZU"

Mój szanowny Kolega, sprawozdawca lotniczy, niestety pomylił się w swoim artykule o "Tirpitzu". Biorąc sprawę rzeczowo, należy stwierdzić, że "Tirpitz" nie był ani największym, ani tym bardziej najlepiej uzbrojonym pancernikiem świata. Wyporność standartowa "Tirpitza" wynosiła 41.000 ton /a nie 45.000/, to też był on nawet mniejszy od zbudowanego w r. 1916 H.M.S. "Hood" — 42.000 ton; uzbrojenie główne zaś posiadał identyczne, t.j. 8 dział 381 m/m. Tymczasem nowe nadpancerniki amerykańskie, w liczbie sześciu, klasy "Indiana" — wypierają 40.000 ton i mają 9 dział 406 m/m; dalsze 6 pancerników klasy "Iowa" wypierają po 45.000 ton z tymże uzbrojeniem; a klasa "Montana" /5 okrętów w budowie/ wypierają po 58.000 ton przy 12 działach 406 m/m. Dwa pancerniki angielskie typu "Nelson" z r. 1923 posiadają również 9 dział 406 m/m. Nowe nadpancerniki japońskie typu "Kii" /5 okrętów/ ponad 40.000 ton i 9 dział 406 m/m. Dwa włoskie nadpancerniki typu "Impero" /"Roma" zatonął/ miały tonaż równy prawie "Tirpitzowi" a uzbrojenie silniejsze, bo 9 dział 381 m/m. Oto więc 25 okrętów liniowych równych lub większych i silniejszych od "Tirpitza". A szukając dobrze, możnaby jeszcze dodać budujące się brytyjskie okręty wypierające — 45.000 ton.

Nie wiadomo też na jakiej podstawie mój Szanowny Kolega pisze, że nie będzie więcej walk morskich, z flotami przeciwnika bo floty niemieckie spoczywają już na dnie morza . . .

Tymczasem walki — jeśli nie z okrętami liniowymi, to z innymi — trwają niemal bez przerwy, a flota niemiecka bynajmniej nie leży na dnie morza, bo posiada dziś jeszcze: 1 okręt liniowy "Gneisenau" /uszkodzony/, 2 pancerniki "kieszonkowe", 3 krążowniki ciężkie, conajmniej 4 lekkie /możliwe, że 6/, około pół setki kontrtorpedowców, torpedowców i eskortowców, kilkaset okrętów podwodnych, lotniskowiec, wiele ścigaczy i sporo okrętów pomocniczych. Do tego dochodzą pochwycone przez Niemców okręty włoskie — 2 liniowe, 7 krążowników, kilkanaście lekkich i podwodnych. Wszystko to oczywiście, już osaczone, ale bynajmniej nie zatopione.

Na górowanie lotnictwa nad innymi broniami łatwo się zgodzić, tym bardziej, że lotnictwo . . . lata w powietrzu. Ale naogół twierdzi się, że lotnictwo nie jest bronią, na wzór artylerii czy czołgów /jak pisze mój kolega/, ale równorzędną do Wojska i Marynarki częścią Sił Zbrojnych.

Najzupełniej zgadzam się z przewagą lotnictwa bombowego nad torpedowym, natomiast trudno zgodzić się na to, że osłona myśliwców istniała tylko przeciwko samolotom torpedowym, a wobec bombowców będzie bezsilna. Trudno zrozumieć dlaczego środki opl. mają być na lądzie różnorakie i nieograniczone, a na morzu właśnie ograniczone. Nie należy też zapominać, że "Tirpitz" zapędzony został we fiordy Norwegii właśnie przez *Royal Navy*, i tam zablokowany; gdyby nie to, hulałby sobie po Atlantyku, z dala od przeciętnego zasięgu lotnictwa.

Na czysto taktyczne tematy lotnicze oczywiście nie podejmuję się dyskutować, jako że mój Sz. Kolega jest fachowcem w tej dziedzinie, ja zaś skromnym laikiem.

PANCERNIK X.

Jakby na potwierdzenie naszych wywodów spłynął na wodę, ochrzczony przez królewnę Elżbietę, największy pancernik brytyjski. Nazwa nie została podana do wiadomości, ale należy przypuszczać, że chodzi o okręt, który przy pełnym obciążeniu wypierać będzie ponad 50.000 ton.

JULIAN GINSBERT

Rozsypane liście

Jabłka na drzewach gorzeją jak ozdoby na choince. Dym z kominów płynie prosto do góry wolnym, długim słupem. Jabłka są purpurowe, z tym odcieniem głębokiej mocnej barwy, jaką się widuje na sukniach z portretów z epoki baroka. Policzki mego gospodarza są purpurowe również. Sącząc *Calvados* zmieszany z gorącą kawą chłodzi swoją pierś po trudach dnia, sycąc się czasem, któremu uciekł spod prądu i nad którym panuje.

Papierosy były niezłe. Ten sam papieros, który w kawiarni ma smak gorzkawo ekscytujący, tu nabiera dobrego, mocnego aromatu. Nie wytrącając ciała z rozleniwienia, wyostrza sens słów, pozwala iść żywiej za rytmem myśli. Pachnie również inaczej. Poza tym jest łatwiej o zrozumienie pomiędzy dwoma palaczami, niż pomiędzy palaczem a abstynentem. Jest również łatwiej o porozumienie pomiędzy dwoma ludźmi, którzy pociągają *Calvados*, niż pomiędzy tymi, którzy leją w siebie wodę. Tak więc zalegało pomiędzy nami dobre, podwójne porozumienie. Nad porozumieniem, ponad jabłonią było nurzające się w zachodzie niebo, niebem przeciągały roje "Thunderboltów" na ostatni przedwieczorny patrol.

Gdyśmy już powiedzieli sobie wszystko co było do powiedzenia o wojnie, o dniu dzisiejszym, o Anglii, Normandii, o tym jak było z tej i z tamtej strony przed inwazją, duże dojrzałe jabłko spadło z drzewa na nasz stół, tuż obok filiżanki gospodarza. O mały włos poszłaby filiżanka i jej zawartość. Lecz ponieważ przykrość przeszła tuż obok, nie zaczepiwszy, dało to powód do radości, jak wykle, gdy się korzysta z uśmiechu losu. Przezorność jednak, drzemiąca w normandzkiej duszy gospodarza, skłoniła go do przeproszenia mnie i odsunięcia stołu poza obręb potencjalnych pocisków, obrastających gęsto gałęzie i chylących je do dołu. W ten sposób uzyskaliśmy wgląd na drogę, po której przelatywały *jeepy* i motocykle.

—Ten człowiek, który tam idzie w czarnym kapeluszu i granatowej koszuli . . . Czy pan go widzi? Był w tysiąc dziewięćset czterdziestym na wojnie, potem w niewoli. Wrócił z niej tuż przed inwazją. Żonaty z pana rodaczką — Polką.

Oczywiście gdybyśmy siedzieli w poprzednim miejscu, nie widzielibyśmy ani skrawka drogi, ani przechodzących ludzi. Gdy przemierzam w towarzystwie człowieka w czarnym kapeluszu i granatowej koszuli odległość około półtora kilometra do jego domu, bawię się myślą o dziwnych splotach skutków i przyczyn. Gdyby jabłko nie spadło, człowiek byłby siedział w dalszym ciągu czas jakiś jeszcze. Wróciłby potem inną drogą. Spotkałby i może poznałby innych ludzi. Miałby inny kierunek myśli, może inne zdarzenia.

Tak się zaczyna opowieść, jedna z tych niezliczonych i smutnych opowieści o tułaczych dziejach narodu polskiego, rozproszonego pod uderzeniami losu po świecie. Tło jest podobne. Ten sam głęboki, czysty szafir nieba, sady naokoło, żywopłoty z głogu i jeżyn. Koza przywiązana za tylną nogę sznurem do krzewu, wyskubuje pod krzewem co może. Suczka o dużych smutnych oczach i zwiędniętych sutkach, które wloką się po ziemi, żałośnie patrzy na przybyszy i stara się opędzić trzem byczystym szczeniakom. Dom jak inne, zlepiony z gliny i piaskowca, pokryty dachówkami z łupku. Dzień się wyraźnie przełamuje na stronę zmierzchu. Niebo wyzbyło się wyuzdania czerwieni i staje się cichsze; jest w pół drogi do tej ciszy, jaką mają wieczorem światła pełgające gdzieś na końcu dużej, kościelnej nawy przed świętymi.

—*Dis-donc, je t'emmène un officier polonais* /przyprowadzam ci oficera polskiego/.

Z otwartych drzwi sieni wysuwa się kobieta. Patrzy na mnie:

—Toście Polak?

Dłoń kobiety jest twarda i poorana brózdami. Oczy zapadłe, przygasłe. Przez chwilę drży w nich jaśniejszy, mocny promień.

—A z której strony jesteście?

—To miejsce gdzie się urodziłem jest dla kobiety egzotyczne. Sama pochodzi spod Dębicy. Wyjechała do Francji w r. 1936 na roboty. W domu była bieda; rodzina liczna, ziemi mało. Na robotach poznała Nicolas. Pobrali się i tak została we Francji. Przed wojną mieli się nieźle. Ale teraz Nicolas wrócił z niewoli z suchotami.

Siadamy na pieńkach przed domem. Zapraszano do wnętrza, ale nie byłem ciekawy. Poza tym przez spanie pod namiotem człowiek się przyzwyczaił do świeżego, chłodzącego przeciągami powietrza. W domu jest mi duszno i brakuje przestrzeni.

Pięcioletni berbeć umorusany i rozczochrany probuje rąbać drzewo toporem dwa razy większym od niego. Dostawszy kłapsa patrzy na tatę z podełba. Wie jednak dobrze co zawiera wąska, podłużna tabliczka, którą otrzymuje ode mnie na pocieszenie. Obłupia ją niezwłocznie z papieru, a wypchawszy całą buzię gumą do żucia, może teraz puścić na długo szczęki w ruch i patrzeć w niebo tym wzrokiem, który mają tylko dzieci, wzrokiem tępym i filozoficznym równocześnie.

Nicolas dostał się do niewoli pod Dunkierką. Pędzili ich piechotą aż pod Liège. Podróż trwała 10 dni. Przez cały jej czas nie dostali ani kawałka chleba, ani kawałka mięsa, ani kawałka ugotowanej jarzyny.

—Więc jak? — pytam.

—Litr ciepłej wody rano.

—Zupy? — pytam.

—Nie. Zupełnie czystej wody.

—Nie moglibyście przecież tak maszerować dziesięć dni — mówię.

—*O-si*! — odpowiada. — Całe dziesięć dni tak maszerowaliśmy bez żadnego posiłku, żyjąc z pól przydrożnych i ogrodów. Jedliśmy surowe kartofle, kapustę, brukiew, marchew. Większość ludzi chorowała na biegunkę. W Liège załadowano nas do wagonów. Zna pan te wagony "48 ludzi lub 6 koni"? — Potakuję głową. — Stamtąd pojechaliśmy przez Berlin do wschodnich Niemiec do obozu. W obozie po miesiącu podzielono nas na narodowości i na grupy po dziesięciu. Grupy poprzydzielano na roboty rolne. Grupa, do której należałem, dostała się na dużą farmę 20 kilometrów od dawnej granicy z Polską.

Głos opowiadającego drży suchą nienawiścią, której już nic nie ugasi i która wystarczy na całe życie.

Pracowali od świtu do zmierzchu, to znaczy 14 — 16 godzin na dobę. Jedzenie było pożywne i obfite, musiało zresztą takie być, gdyż pracę z energii można wydobyć rozmaitymi sposobami, zwłaszcza gdy się ma do pomocy baty lub kopniaki. Nikt jednak nie potrafił dotychczas czerpać energii z niczego.

Z grupy Nicolas, jeden umarł na zapalenie płuc, jednego zastrzelono podczas ucieczki.

—Nie strzelali przecież chyba za samą ucieczkę? — pytam niedowierzająco.

Patrzy na mnie . . . tak patrzy człowiek, który się opił doświadczeniem życia, jak gąbka wodą, na małe dziecko zadające mu naiwne pytania.

—To się nazywało oficjalnie: za stawianie zbrojnego oporu. Sami Niemcy się z tego śmieli. Żeby nie mieć kłopotu z uciekającymi i żeby wdrożyć mores w jeńców, rozstrzeliwali bez pardonu tych, których złapali podczas ucieczki. Jaką do tego przykładali nazwę było to obojętne. Nie o nazwę przecież chodzi. Zresztą pozwalano skazanemu wybierać nazwę przestępstwa dla zawiadomienia o tym jego rodziny. Jednego więc złapanego, którego prowadzono na rozstrzelanie, zapytano za co woli być rozstrzelany, za szpiegostwo, za stawianie oporu władzy, czy za rabunek. "Za Francję" odpowiedział.

Było ich więc przeszło dziesięciu. Dwóch, w tej liczbie Nicolas, zwolniono po trzech i pół latach jako niezdolnych do służby. Pozostało sześciu. Pracują na pewno w dalszym ciągu na tej samej farmie.

—Czy płacili za pracę?

Tak płacili. Dostawali półtora marki tygodniowo. Za to można było kupić trochę mydła i papierosów. Gdy ich mundury zostały zniszczone, dano im mundury polskie.

—Jaki był stosunek z gospodarzem?

Nie było wogóle żadnego stosunku. Było wzbronionym odzywać się do gospodarza, jak też do kogokolwiek z jego rodziny. Grupa była stale pod nadzorem i rozkazami kierownika, który był Niemcem. Gospodarz wydawał wszystkie polecenia kierownikowi, do kierownika również i wyłącznie mogli się zwracać wszyscy jeńcy.

—Czy było to cały czas przestrzegane?

Cały czas bez wyjątku. Były coprawda wypadki czynnej interwencji gospodarza. Gdy mu któryś z jeńców podpadł, wtedy kopał go nie dyskutując. Zaraz potem wołał kierownika i ryczał na niego. Kierownik odbijał to jeszcze raz na jeńcu.

Byli zupełnie odcięci od świata. Nie wolno im było się oddalać poza rejon ich pracy pod grozą uznania za uciekiniera. A o uciekinierach już powiedziano wyżej. Liczyli, że wojna się wkrótce skończy i że puszczą ich do domu. Ale wojna się nie kończyła, a lata płynęły. Na początku niewoli dostawali jeszcze czasem z domu przesyłki, ale pod koniec już nie było co i nie było warto wysyłać.

Kobieta wtrąca się w tym miejscu.

—Gospodarstwa własnego nie mamy. Jak Nicolas był w domu, to było pół biedy. Ale jak jego wzięli, to trza było samej o cały dom dbać. A dzieciak też musiał mieć baczenie. Com się napracowała! Boże! Ręcem se starła od prania, najmując się do ludzi. Po nocach pracowałam. Mąż pisał, żeby mu koszulę przysłać, bo te co miał, to mu się rozłażą. To ja panie, dwa miesiące ciężkom musiała harować, żeby mu te pare koszul kupić. Kupiłam nowe, ładne, ale jemu zmienili i dali jakieś stare. A potem jeszcze raz posłałam buty, dobre buty na skórzanych podeszwach, to mu je znowu zamienili i dali z drewnianymi podeszwami. Ale to nie tylko jemu jednemu tak robili. Zamieniali wszystkim. To już potem nie warto było nic posyłać.

Tak się to ciągnęło i ciągnęło. Nicolas nie przyzwyczajony do trzaskających mrozów kontynentalnych podupadł na zdrowiu. Rozwinęły się suchoty. Wtedy go zwolniono. Było to w lutym 1944. Wrócił do domu wycieńczony, słaniający się na nogach. Kobieta musiała pracować teraz na niego również.

Jakoś zaraz na wiosnę zaczęły chodzić gadki pomiędzy ludźmi, że Anglicy z Amerykanami szykują się do wojny na ziemi. Ale tych gadek już było tyle poprzednio, a zwłaszcza w okresie każdej wiosny, że trudno im było wierzyć. Był coprawda jeden dobry znak, że Niemcy tym razem bali się tych gadek naprawdę i zaczęli budować na brzegu różne umocnienia. Najechało ich jak szarańczy. Wpierw na całą wieś był jeden posterunek — pięciu Niemców, teraz na każdego Francuza przypadało pięciu. Byli zupełnie inni od tych, co przyszli tu w roku 1940. Tamci byli grzeczni i zdyscyplinowani. Bawili się z dziećmi i chętnie sprawiali dziewczynom prezenty. Ci byli chamscy i brutalni. Rekwirowali co tylko się dało. Co się nie dało, kradli. Napadali na dziewczyny. Pili na umór, bez przerwy, pili po dniach i nocach. Złorzeczyli Anglikom i odgrażali się, że potopią ich w morzu. A potem, jak zaczęli puszczać na Anglię latające bomby, to znowu wariowali z radości i strzelali w powietrze. Powiedzieli Francuzom, że z Londynu już nie zostało ani śladu i że za parę tygodni cała Anglia będzie wyglądała jak Londyn.

Ludziska modlili się do Boga, żeby Anglicy i Amerykanie przyszli jak najprędzej, ale czas szedł, a ci nie przychodzili. Niemcy stawali się coraz bardziej agresywni i brutalni. Zaczęto już wiarę tracić, czy inwazja kiedykolwiek nastąpi. Aż wybił ten dzień.

Nad światem leży już głęboki wieczór i zmrok przesnuwa się po drzewach. Księżyc przebija srebrem gąszcz zarośli. Głos kobiety nabiera przyśpieszenia i życia.

—Dwa dni przedtem, zanim tu przyszli, to bombardowali wszystko Niemcom. Bombardowali dzień i noc bez przerwy. Szli jak chmura. Jeszcze tutaj to zrzucili tylko trochę bomb, ale tam kole Caen . . . żeby pan widział! Jeden po drugim schodzili z nieba jak po sznurku i wypuszczali bomby. A taki był z tego dym i ogień jakby się ziemia łamała. Nasza chałupa to cały czas skakała, żem już się bała, coby się w niej coś nie rozsypało.

Dwa dni tak młócili Niemców, potem rano szóstego czerwca usłyszeliśmy strzelanie z karabinów. Więc mąż mówi, że to już coś musi być i chce wychodzić. Ja go nie puszczam; jużem go raz straciła na cztery lata. Ale ludziska biegną i krzyczą, że Amerykanie spuścili się na paraszutach. Wtedy mąż nie wytrzymał i wyskoczył z chałupy. Ja też wychodzę. Już było dobre świtanie. Gdzieś w stronie morza leciały czerwone, wielkie kule w górę. Strzelali trochę z karabinów, ale nie zbyt dużo. W stronie Caen huczało od armat. A niebo to całe szumiało i było czarne od samolotów.

Gdy tak stoję przed domem i się rozglądam, widzę, trzech Niemców ucieka przez pole. To już myślę, że dobrze jak uciekają i patrzę dalej co też oni będą robić. A oni stanęli i nie wiedzą w którą stronę iść, bo wszędzie jest strzelanina. Pogadali pomiędzy sobą, a w końcu chyłkiem, ukradkiem zachodzą do jednej stodoły. Więc ja postałam z pół godziny, a oni cały czas siedzą w stodole. Tom ja zrozumiała co oni chcą w niej przesiedzieć cały dzień, żeby potem w nocy uciec. "O wy gady zatracone", myślę, "tak dobrze nie będzie". I zaraz w te pędy biegnę tam, gdzie inni biegną też, w stronę morza. Zadechałam się ze zmęczenia. Przybiegam gdzie jest wielka kupa luda, a w środku niej amerykańskie żołnierze. Ja zaraz chcę im powiedzieć o tych Niemcach, co to siedzą w stodole, ale oni po francusku nie gadają. Tom ja się wiele zmartwiła i nie wiem co robić, aż nagle słyszę te Amerykanie gadają do siebie po polsku. O lo Boga! Aże mi się nie chciało wierzyć. Więc ja zaraz mówię im co wiem o tych Niemcach, to oni biorą maszynowe pistole i idą ze mną. Obeszli tę stodołę naokoło, a jeden Francuz co umiał po niemiecku, zaczął krzyczeć do tych w stodole, żeby się poddali, bo ich wystrzelają jak kaczki. Wtedy oni wyszli ze stodoły. Blade to, zastraszone. Porzucali swoje karabiny i bagnety, Amerykanie szwargocą do nich po amerykańsku, to tamci tego nie rozumieją. I trzeba panie znowu przypadku, że jeden z tych Amerykanów, co to byli Polacy, mówi do drugiego Amerykanina; "Władek, a zapytaj go gdzie siedzi Hitler". Jak tylko tamci trzej niby Niemcy to usłyszeli, jak nie wrzasną. "Lo Boga! Toż my przecież też Polacy".

Chryste! Małom nie upadła ze zdziwienia. A oni opowiadają co ich siłą zabrali do wojska. No i pewnie, że to prawda. Wciągnęli na nich mundur, dali karabin do garści i posłali na front. Uciekniesz nieboraku to kula w łeb. Co mieli robić! A uciekali przed Amerykanami dlatego, bo im powiedziano, że Amerykanie nie biorą do niewoli, ino każdego mordują. No, to ci z Ameryki się śmieli. Dali tamtym trzem zaraz pełno papierosów i jedzenie z konserwy. Takem ich odprowadziła do brzegu i takem pożegnała. Było mnie wtedy tak dziwnie na sercu i takem sobie pomyślała, co my przecież wszyscy i ja, niby Francuska i te Amerykany i te Niemcy som z jednej i tej samej rodziny.

Gdy wracam do namiotu srebrna cisza rozściela się i nabrzmiewa rosą. Księżyc pozwalczał zapory z gałęzi i błyszczy jak japoński lampion. Myślę o tym, co słyszałem, o dziejach tej masy tułaczej oderwanej od pnia Polski, którą wicher dziejów rozsypał po świecie i przegania jak liście potrącające tu i tam nawzajem o siebie.

STEFAN ŁASZKIEWICZ

Montgomery dekoruje żołnierzy Dywizji Pancernej

W tych dniach, gdzieś na kontynencie, na terenach zajętych przez polską Dywizję Pancerną, odbyła się krótka lecz bardzo wymowna uroczystość.

Dnia tego marszałek B. Montgomery udekorował d-cę Dywizji, gen. S. Maczka oraz szereg polskich oficerów i szeregowych — wojskowymi odznaczeniami brytyjskimi.

Gen. Maczek zaś w imieniu Prezydenta R.P. udekorował marsz. Montgomery srebrnym krzyżem "Virtuti Militari".

Uroczystość ta, która odbyła się w obecności szeregu wyższych oficerów angielskich i kanadyjskich, delegacyj wszystkich oddziałów polskich, oraz w asyście pocztów sztandarowych i trębaczy — była jeszcze jednym dowodem ścisłej współpracy i braterstwa broni pomiędzy wojskami polskimi i alianckimi.

Po dekoracji marsz. Montgomery w krótkim przemówieniu podkreślił wspaniałą postawę polskiej Dywizji Pancernej i parokrotnie zaznaczył, że Dywizja wykonała swe zadania bojowe w sposób wspaniały /"magnificent job"/.



Kapelani z nieba

(Polscy spadochroniarze w Holandii)

Sierżant Wojtuś, autentyczny góral zakopiański, narciarz i tatemik, natchniony kłusownik i brawurowy popij-brat, partyzant z Polski, kawaler "Krzyża Walecznych" z Francji i mówiąc stylem gazet brytyjskich *"hero of Arnhem"*, sławny saper, co to jeszcze w Anglii wraz z podobnym do siebie towarzyszem broni spadochronowej stając w obronie zaczepionego kolegi rozgromił doszczętnie co najmniej pluton aliancckich bokserów z pobliskiego lotniska, ten sam, który bije swoich koleżków po zębach, kiedy na to zasłużyli, a oni wpatrują się w niego jak w tęczę wiedząc, że nie opuści ich w najgorszym niebezpieczeństwie — właśnie on opowiedział mi na wesoło:

—Jezus Maryjo! Kierowałem przeprawą przez Ren, a ogień jak s . . . n! Łódź podeszła do brzegu, więc pcham do niej nową grupę żołnierzy, a tu karabiny maszynowe jak nie zaczną po *kłopach* prać. Zanim zdążyliśmy *prasnąć na ziem*, kilku już oberwało. Porucznik M., ten *malućki*, dostał serią po obu nogach. Leży i *jency* w ciemnościach. Przyszedł rozkaz przerwania przeprawy. Wygnałem bractwo z powrotem za wał. Lecz rannych trzeba wynieść. Bierzemy porucznika M. ze Staszkiem i niesiemy. A Szkopy po nas maszynkami i moździerzem. Już wszyscy poszli — zostaliśmy sami. Ogień coraz gorszy. Myślę, że już koniec. A tu jeszcze ktoś plącze się koło nas. Patrzę, a to ksiądz-kapelan Mt. Zacząłem go odpędzać: "Proszę księdza iść stąd! Ksiądz tu niepotrzebny. Wystarczy nas dwóch". Lecz ksiądz się uparł, że zostanie z nami. Mówi, że może się przydać. "Jak chce, to szlag go trafił" — pomyślałem, bo naprawdę było źle. Ubiliby niepotrzebnie *kłopa* . . .

—I co, przydał się ksiądz? . . .

—Tak! . . . Nagle Staszek się potknął, a ja za nim. Ranny jęczy, Niemcy rżną w nas ile wlazło, a my zaplątaliśmy się w jakieś cholerne druty. Co jedną nogę wyciągnę, to druga się uwikła. Wtenczas księżula buch nam pod nogi i nuż rozplątywać druty. Wyszliśmy cało . . .

Sierżant Wojtuś uśmiechnął się beztrosko, tak po góralsku, ale nagle spoważniał i rzekł kręcąc głową:

—Taki księżula, a odważna *bestyja*!

Z księdzem-kapelanem Mt. leciałem w jednym samolocie. Ksiądz miał numer przede mną i wyskoczył pierwszy dźwigając w *kitbagu* przybory liturgiczne i opatrunki dla żołnierzy. Potem straciłem go z oczu i byłem o niego niespokojny. A on tymczasem wrócił na lądowisko i pod ogniem niemieckich *sniperów* starał się odnaleźć zwłoki naszych spadochroniarzy. Spotkałem go dopiero za parę dni w szpitalu, w tym właśnie "szpitalu nagłej śmierci" w Drielu, który Niemcy obrali za cel dla swojej artylerii i sprzężonych moździerzy.

Kapelani spadochronowi Brygady — a było ich trzech: Mt., B. i Ms. — oprócz swojej misji kapłańskiej pełnili w boju również obowiązki sanitariuszy, mając do tego odpowiednie wyszkolenie. Praca ich była podwójnie pożyteczna, tak dla ciała, jak i duszy żołnierza.

Kiedy mówię o tym, ksiądz Mt. macha ręką i przerywa mi:

—Tylko proszę nie chwalić, bo strasznie nawaliłem!

—Co się stało?

—Przyniesiono ciężko rannego podporucznika G., tego sapera, który tak wspaniale zachowywał się w czasie przeprawy przez Ren i dostał kulą w głowę. Nie poznałem go, bo był cały umazany krwią, półprzytomny, zmieniony na twarzy. Widząc w jakim jest stanie zacząłem udzielać mu ostatniego namaszczenia. A ten nagle zaczyna się rzucać i bełkotać coś w rodzaju, że on nie chce, że on w to nie wierzy. Nie przerwałem jednak sądząc, że jest nieprzytomny i po prostu coś bredzi w gorączce. Ledwo skończyłem, gdy podbiegł do mnie sanitariusz i szepnął: — "Co ksiądz robi? Przecież podporucznik G. jest Żydem". Stało mi się strasznie nieprzyjemnie, że w takiej chwili biedakowi sprawiłem przykrość. Na szczęście polepszyło mu się i będzie żył.

* * *

Kompania zaopatrywania w czasie walk pod Arnhem nie miała w co zaopatrywać Brygady, więc paru żołnierzy zajęło się zupełnie czymś innym, a mianowicie — dostarczaniem ziemi dla poległych spadochroniarzy. To znaczy kopali groby i grzebali kolegów na cmentarzu w Drielu. Cmentarz znajdował się w jednym z najbardziej ostrzeliwanych miejsc bronionego obszaru. Oryginalne to były pogrzeby, ponieważ kapelan i szczupłe grono kolegów, oddające ostatnią przysługę poległemu towarzyszowi, musieli co chwila przerywać swój zbożny trud i padać plackiem na ziemię.

Wśród tych bojowych "grabarzy" był strzelec spadochronowy S.

—Pan jest strzelcem, a posiada wygląd i powagę co najmniej majora — żartuję na wstępie pogawędki.

Zagadnięty popatrzył na mnie z politowaniem.

—Dziwi to pana? Przecież służę już w armii czwartego z rzędu państwa!

Opowiedział mi, jak to się stało. Jest Polakiem, ale obywatelem litewskim. Czynną służbę wojskową odbył na Litwie i został podchorążym. Następnie brał udział w Wojnie Domowej w Hiszpanii i na froncie dowodził kompanią po stronie wojsk czerwonych. Po klęsce przedostał się do Francji i zaciągnął się do Legii Cudzoziemskiej broniąc ziemi francuskiej aż do chwili *"armistice"*. Wtenczas przeszedł do Armii Polskiej i wstąpił do spadochroniarzy. No i teraz dla odmiany grzebie zabitych kolegów, bo każdy, komu życie jest miłe, unika tego miejsca rozrywających się pocisków.

—Ale mimo to dzięki naszym kapelanom Mt. i B. każdy z pochowanych żołnierzy miał chrześcijański pogrzeb — dodaje z aprobatą ex-rewolucjonista hiszpański.

Terenem pracy kapłańsko-samarytańskiej księdza kapelana B. w czasie walki był zapasowy szpitalik zorganizowany w Drielu przez holenderski zakon Serca Jezusowego. Budynek znajdował się w pobliżu cmentarza, kościoła i "szpitala nagłej śmierci", a więc na najbardziej zagrożonym terenie.

W szpitaliku gromadzono rannych cywilów, ale było tam także kilku polskich, amerykańskich i niemieckich żołnierzy. Księża holenderscy i siostry zakonne pracowali z największym poświęceniem nie bacząc na nieustanne bombardowanie tego miejsca. Oczywiście płachta z czerwonym krzyżem na dachu budynku, wraz z tym dachem i całym budynkiem została rozerwana pociskami niemieckimi na strzępy. Na szczęście stało się to po ewakuacji rannych i tylko jeden został zabity.

Duszą tego polsko-holenderskiego szpitaliku był ksiądz kapelan B. Prawdopodobnie tylko on ze wszystkich kapelanów pod Arnhem miał sposobność odprawić mszę św. — w kaplicy przed jej zmieceniem z powierzchni ziemi. Ksiądz B. został ranny, ale powiada, że to była najpiękniejsza msza w jego życiu.

* * *

Po powrocie z Holandii przypadkowo znalazłem się w szkockim *"boarding house'ie"* w Edinburghu, w którym kiedyś mieszkał trzeci nasz kapelan spadochronowy ksiądz Ms.

—Panie, niech mi pan powie, co się naprawdę stało z księdzem Ms . . . — rozpytywała się mnie niemal ze łzami w oczach staruszka Szkotka, *"landlady"* tego pensjonatu.

Opowiedziałem to, co o nim wiedzieli wszyscy. Przeprawił się ze swoim batalionem na północny brzeg Renu i był z nim do końca. Ostatni raz widziano go w czasie ewakuacji resztek dywizji brytyjskiej i oddziałów polskich z tamtego brzegu. Wszedł do wody, aby przepłynąć rzekę wpław. I na tym koniec wiadomościom. *Missing.*

—Taki wykształcony, czarujący i zdolny człowiek! — biadała staruszka. — Jeżeli pan cośkolwiek o nim się dowie, proszę mi koniecznie napisać. Będę się modliła za niego.

Niestety do tej pory czeka na wiadomość. I czyż trzeba lepszej pochwały dla kapelanów-spadochroniarzy, jak te słowa sierżanta Wojtusia, ex-rewolucjonisty hiszpańskiego i łez staruszki Szkotki, która wznosi modły za katolickiego księdza w swoim *Church of Scotland.*

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI

Por. poprzednie artykuły w nr. 41, 43, 44 i 47 "Polski Walczącej" z b.r.



Obraz ofiarowany jednemu z miast szkockich przez polskich spadochroniarzy przed udaniem się na operację bojową

Rycerze Chrystusowi

Gdy liczymy poległych towarzyszów broni, myśl nasza ze szczególnym skupieniem zatrzymuje się na postaciach zabitych podczas walk kapelanów wojskowych. Powołanie kapłańskie odjęło im możność używania broni; nie szli z nami, aby walczyć, ale aby krzepić walczących w chwili, gdy im grozi śmierć. Mimo to — legli na polu chwały. Kule są podobno ślepe, a i nie wszyscy wrogowie pojmują wielkość znamion chrześcijaństwa.

II Korpus we Włoszech stracił dziewięciu kapelanów: siedmiu rannych i dwu zabitych. Z rannych jeden, ks. Lisowski, który otrzymał postrzał w dolną szczękę i język, dotąd jest pozbawiony mowy. Polegli: o. Huczyński i ks. Targosz.

W 1-ej Dywizji Pancernej we Francji ranny został ks. Głażewski, zaś poległ po bohatersku o. Hupa, osłaniając rannych, przeciw którym wróg skierował ogień karabinów maszynowych.

Ci polegli zasłużyli sobie na to, abyśmy im poświęcili żołnierskie wspomnienie.

* * *

Ks. Stanisław Piotr Targosz był Krakowianinem. Urodzony w Krakowie w r. 1911, tamże skończył gimnazjum im. Króla Jana Sobieskiego oraz teologię na Uniwersytecie Jagiellońskim, ze stopniem magistra. Święcenia otrzymał na trzy lata przed wojną. Pracował w harcerstwie oraz był diecezjalnym kapelanem i dyrektorem Katolickiego Stowarzyszenia Młodzieży. Wojna spowodowała jego wyjazd do Ameryki.

Podczas akcji rekrutacyjnej w Kanadzie, ks. Targosz objął stanowisko kapelana ośrodka w Owen Sound. Oto, jak oceniła jego tam pracę zwierzchność wojskowa /rozkaz Nr. 15 z 25.IV.42/:

"W okresie od 1.IX.41 do 31.III.42 pełnił w obozie im. Tadeusza Kościuszki w Owen Sound prowizoryczną służbę kapelana ks. Stanisław Targosz. W czasie 5-miesięcznej pracy wykazał ks. Targosz wybitne walory inteligentnego i wzorowego duszpasterza, który dzięki gorącemu patriotyzmowi, ukochaniu służby i gorliwej pracy przyczynił się wybitnie tak do podniesienia stanu moralnego żołnierzy, jak i do propagandy polskiej na terenie Kanady.

"W chwili, gdy w związku z likwidacją Obozu ks. Targosz wraca do pracy wśród Polonii Amerykańskiej, składam mu w imieniu służby podziękowanie za całość pracy, z życzeniem uzyskania w najkrótszym czasie tak przez niego upragnionej godności kapelana naszej Armii".

Od 8 października r. 1943 ks. Targosz był kapelanem. Zginął w jednej z ciężkich bitew II Korpusu.

* * *

O. August Huczyński urodził się w r. 1904 w Brodach, do gimnazjum chodził w Krakowie, zaś teologię studiował przez 4 lata w Rzymie. Wstąpił do zakonu Karmelitów. W zakonie przeznaczono go do pracy pedagogicznej. Został etatowym nauczycielem, wykładowcą religii w szkołach powszechnych w Rozdole.

Od 9 grudnia r. 1941 był kapelanem 6-ej Lwowskiej Brygady Piechoty.

Opinia bezpośredniego przełożonego wojskowego o o. Huczyńskim brzmi, jak następuje:

"Inteligentny, obowiązkowy, karny, lojalny i koleżeński; patriotyzm i ideowość bez zarzutu. Bardzo ofiarny, o dużych zdolnościach pedagogicznych. Bardzo dobry kapelan pułku".

Ostatnio pełnił funkcje kapelana Szpitala Wojennego. Zginął od pocisku artyleryjskiego w bitwie pod Cassino.

* * *

O. Wiktor Hupa urodził się w r. 1912 w Zawadach, pow. Rawicz. Studia teologiczne odbył w Louvain w Belgii. Członek Prowincji Śląskiej oo. Franciszkanów, święcenia uzyskał w r. 1937. Do wojska wstąpił we Francji, 14 czerwca r. 1940. Był kapelanem 3-ej Brygady Strzelców Pancernych.

Poległ 20 sierpnia r.b., gdy — według relacji — biegł z krucyfiksem i flagą Czerwonego Krzyża powstrzymać ogień czołgu niemieckiego, skierowany na posterunek opatrunkowy z rannymi. Niemcy nie uszanowali flagi ani krzyża i ogniem swym położyli o. Hupę trupem.

Oto, co powiedziano o tym następnie w audycji Polskiego Radia:

"Dokładne szczegóły jego śmierci znane są tylko wam, żołnierze, którzyście za jego wieloletnią posługę duchowną oddali mu ostatnią posługę. Z otrzymanych relacyj jedna mówi, że zginął, zakłuty bagnetami, druga — że rozerwał go granat, inna zaś — że do biegnącego z krzyżem Chrystusowym w jednej, a ze znakiem Czerwonego Krzyża w drugiej ręce, by ostrzec nadchodzący czołg nieprzyjacielski przed ostrzeliwaniem posterunku opatrunkowego, nieprzyjaciel skierował serię z karabinu maszynowego, tak, że ks. Wiktor padł na miejscu bez ducha.

"Nie wiem, która z tych relacyj jest prawdziwa. Ale jedno jest pewne: że poległ na polu chwały. Tak bowiem pisał w ostatnim liście do przyjaciela: "A jeśli dowiesz się, że nie żyję, to wiedz, że zginąłem na polu chwały . . ." Te słowa podyktowało mu bijące pod battle-dressem *serce Franciszkanina, serce chwały nie żądne. I jeśli pewien był chwały własnego zgonu, to dlatego, że marsz do Kraju i Nieba uważał za jeden marsz, który musi być chwalebny.*

"Śmierć jego, jak i śmierć i rany tylu innych kapelanów, przypieczętowała nieśmiertelne prawdy o jednym chwalebnym marszu do Kraju i Nieba".

Kształceni w różnych zakładach naukowych, w Polsce lub za jej granicami, pochodzący z rozmaitych dzielnic Rzeczypospolitej, stawili się jednakowo do żołnierskiego apelu i jednakowo za Ojczyznę śmierć ponieśli.

Niebo i ziemia rodzinna pamiętać im ich wierną służbę będzie.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

Polonia Francuska w podziemiach



"Justyn" i "Daniel"

Emigracja polska we Francji przyjęła klęskę Polski we wrześniu 1939 roku ze zdziwieniem i rozczarowaniem. Polacy we Francji nie spodziewali się takiego obrotu rzeczy. Klęska ta zrodziła pewną, zbyt może ostrą, krytykę spraw polskich. Upadek Francji w 1940 roku był ciosem jeszcze silniejszym; rozczarowanie jeszcze większe. Padła przecież słynna *"l'Armée Française"*. Tego już nikt z Polaków we Francji nie mógł się spodziewać.

Na tym jednak skończyły się wstrząsy, którym poddana została nasza emigracja. Widok powracających z radością do domu żołnierzy francuskich — był równie niespodziewany. Francuzi, zwycięzcy Wielkiej Wojny, współpracujący z okupantem, Niemcami — to również było zjawisko niewytłumaczalne dla Polaka. Fakty te zmuszały do zastanowienia się.

Na tym tle nastąpiła rewizja stosunku Polaków we Francji do Kampanii Wrześniowej i ich oceny spraw polskich w ogólności. Zrozumiano, że żołnierz polski bił się właściwie dłużej; nie poddawał się, ale walczył do ostatka. Równocześnie napływać zaczęły wieści z Polski, która nie poszła na żadną współpracę z okupantem, zachowując wobec niego sztywną, niezmienną postawę: "Nie ma Quislinga", "Nie ma Vichy". Przyszły wieści o terrorze niemieckim, jak również i o oporze Polaków.

Kraj stał się natchnieniem dla emigracji polskiej we Francji. Poczuła się ona dumna ze swej Ojczyzny. Zrodziło się pragnienie dorównania Polakom w Kraju. Takie było źródło samorzutnego organizowania oporu we Francji przez Polaków tam od lat osiadłych. Odezwały się te same myśli i pragnienia, te same uczucia i instynkty. Odezwała się ta sama dusza polska, która jest w każdym Polaku, czy w samej Polsce, czy gdziekolwiek na obczyźnie. Inna ziemia — ludzie ci sami.

Podobnie jak w Kraju, gdzie polskie państwo podziemne wyrosło z pierwotnie rozmaitych i przez różnych energicznych ludzi organizowanych związków, tak i we Francji początki polskiego ruchu podziemnego zawdzięczać należy wysiłkom pojedynczych ludzi. Dopiero potem zostały one ujęte w jedną organizację: P.O.W.N. — Polska Organizacja Walki o Niepodległość — na której czele, jako szef główny, stanął później Delegat Rządu Polskiego w Londynie p. Aleksander Kawałkowski — "Justyn" oraz obok niego jako szef wojskowy i delegat Ministra Obrony Narodowej płk. Antoni Zdrojewski — "Daniel".

W organizacji tej znaleźli się obok emigrantów, którzy tworzyli jej trzon, także żołnierze Armii Polskiej we Francji, którzy nie zdołali się ewakuować do W. Brytanii, dalej żołnierze z W. Brytanii, głównie instruktorzy i specjaliści oraz Polacy zbiegli z obozów niewoli i pracy w Niemczech lub z oddziałów wojska niemieckiego, do których gwałtem zostali wciągnięci.

W 1943 roku można już mówić o zupełnie skrystalizowanej organizacji, która miała za cel ująć pod jednolitym kierownictwem wszelkie czynne elementy społeczeństwa polskiego we Francji, a nawet Belgii, zaopiekować się nimi i przygotować do przyszłej mobilizacji oraz zorganizować polską akcję bojową, którąby w ramach zamierzeń Sprzymierzonych dała maksimum wkładu do wspólnej sprawy.

Cele te zostały zrealizowane. Podstawę P.O.W.N. stanowiło około 7.000 ludzi zaprzysiężonych i całkowicie zorganizowanych. Liczba ta z chwilą przystąpienia do akcji jawnej potroiła się. Dziś zaś zaciąg ochotniczy do Polskich Sił Zbrojnych idzie bardzo sprawnie i pierwsi ochotnicy przybyli już do W. Brytanii.

Akcja wojskowa objęła działania dywersyjno-sabotażowe, informacyjne i bojowe. Specjalne sukcesy odniosły polskie grupy bojowe w walce z "latającymi bombami", przeważnie w okręgu Sommy i Pas-de-Calais. Pierwsze meldunki o tej nowej broni nadeszły do Anglii ze źródeł polskich już wiosną 1943 roku. Polacy ogółem przekazali 162 meldunki o "bombach latających", dostarczając danych o 84 wyrzutniach, co umożliwiło lotnictwu Sprzymierzonych bombardowanie ich. Ponadto Polacy przeprowadzili szereg bezpośrednich ataków na wyrzutnie, odcinając dostawę prądu, przecinając linie telekomunikacyjne i t.p. Tak to po raz drugi w tej wojnie Polacy wzięli udział w obronie Londynu.

Również polskie oddziały bojowe wzięły czynny udział w wyzwoleniu Francji walcząc na Południu i na Północy samodzielnymi oddziałami lub w ramach F.F.I. */Forces Françaises de l'Interieur/*, z którą to organizacją P.O.W.N. ściśle współdziałała.

Szczegóły działań i walk polskich we Francji, nazwiska, daty, miejscowość — muszą dziś niestety jeszcze pozostać w ukryciu. Obecnie możemy tylko posługiwać się jak gdyby symbolami, nieznanymi bohaterami spośród setek bojowców, radiotelegrafistów, łączniczek, sanitariuszek, członków "komitetów recepcyjnych" /tak nazywano ludzi opiekujących się spadochroniarzami po ich lądowaniu/ i tylu innych, którzy życie swe wprzęgli w służbę Polsce i Francji.

Przeglądam różne raporty opisujące walki, przeprowadzone plany, opisy czynów i dokonań. Z nich wszystkich bije odwaga, bohaterstwo, a przede wszystkim gorące polskie serce.

Oto jeden z tych raportów:

"Ppor. Lalka", lat 28, ochotniczo służył w Kampanii Wrześniowej, potem przedostał się do Francji; brał udział w kampanii norweskiej. Po powrocie z Norwegii walczył we Francji. Dostał się do niewoli niemieckiej, z której zdołał zbiec. W czasie ucieczki aresztowany zdołał znów zbiec z transportu do obozu karnego. Lecz i tym razem szczęście mu nie sprzyjało. Został ponownie aresztowany i osadzony w więzieniu. Ppor. "Lalka" nie daje jednak za wygraną. Następuje trzecia, tym razem szczęśliwa ucieczka.

Po różnych przygodach i przejściach poprzez Francję, Hiszpanię ppor. "Lalka" dostał się do W. Brytanii. Tu zaraz zgłasza się do pracy w P.O.W.N., z której członkami spotkał się w czasie swych wędrówek poprzez Francję.

Stan zdrowia ppor. "Lalki" po tylu przejściach nakazuje kurację i dłuższy odpoczynek. Nie chce jednak o tym słyszeć. Przechodzi intensywne przeszkolenie i wiosną br. następuje chwila przezeń gorąco oczekiwana. Jest razem z trzema innymi kolegami w samolocie i za kilkadziesiąt minut będzie we Francji.

Lot nocą odbył się bez przygód. Przy lądowaniu jednak spadochron nie otworzył się prawidłowo i ppor. "Lalka" złamał prawą rękę i prawą nogę, ulegając ogólnym potłuczeniom. Odzyskawszy na chwilę utraconą przytomność ppor. "Lalka" stwierdza, że nie będzie mógł wykonać powierzonego mu zadania, o którym od tak dawna marzył i do którego parł całą siłą.

Podbiega do niego jeden z kolegów. Rwącym się głosem "Lalka" mówi mu o wypadku. Następuje poszukiwanie reszty towarzyszy wyprawy. Tymczasem padają strzały jakiegoś patrolu, który zauważył podejrzane hałasy. Czas nagli. Trzeba odskoczyć od miejsca skoku jak najszybciej. Materiał dla organizacji musi być dostarczony. Zadanie musi być wykonane.

Następuje tragiczne pożegnanie. Ppor. "Lalka" oddaje kolegom cały materiał, oni zaś niszczą jego dokumenty. Nie pozostaje nic innego, jak owinąć go w płaszcz i pozostawić w miejscu, gdzie może go znaleźć patrol lub okoliczna ludność, by tą drogą dotrzeć do szpitala.

Tak się też stało. Patrol policji Vichy natknął się na nieprzytomnego "Lalkę" i zabrał go do pobliskiego szpitala. "Gestapo" jednak dowiedziało się o "tajemniczym" pacjencie. Następnego dnia do szpitala przybył patrol "Gestapowców", który rozpoczął dochodzenia. Dowódca patrolu zażądał wydania chorego. Życzliwe stanowisko personelu szpitalnego i sprzeciw lekarza, że w tym stanie nie może wydać chorego — nie odniosły skutku. W tym czasie "Lalka" na chwilę odzyskuje przytomność. W pierwszej chwili nie orientuje się, co się stało i gdzie jest. Widok jednak "Gestapowców" rozmawiających z lekarzem i siostrami uprzytamnia mu całą sytuację.

Pierwsza myśl "Lalki" — nie wydać niczego, a z nią ostatnia decyzja. Na łańcuszku medalika ma małą pastylkę trucizny. Szybkim, gorączkowym ruchem odrywa ją i połyka.

Zanim zakończono przygotowania transportu do więzienia "Gestapo" — ppor. "Lalka" zmarł.

Na małym cmentarzu cichej miejscowości francuskiej przybyła bezimienna mogiła — Nieznanego Żołnierza.

A oto drugi bohater, nieznany z nazwiska aż do ukończenia wojny. W meldunku, który przeglądam, nazywa się on: ppor. "Kuzyn". Ma on lat 27. Był radiotelegrafistą P.O.W.N. Zadaniem jego było odbierać telegramy nadawane z Londynu i przekazywać je komórkom organizacji, jak również przekazywać meldunki z terenu do sztabu polskiego w Londynie.

"Pracę swą pełnił od kilku miesięcy. Często musiał zmieniać miejsce zamieszkania przenosząc się z jednej miejscowości we Francji do drugiej. Ostatnio zamieszkał w małej mieścinie francuskiej, gdzie znalazł sprzyjające warunki dla wykonywania swego zadania. Za dnia chodził do fabryki, w nocy wykonywał pracę — właściwą.

Ppor. "Kuzyn" miał przy rodzinie francuskiej, która go bardzo polubiła, pokoik na piętrze, skąd łatwo było wydostać się na poddasze. Tam była umieszczona stacja radiowa.

Okresy pracy były rozmaite. Nieraz trzeba było spędzić większą część nocy, by nadać wszystkie doręczone przez łączników wiadomości od dowódców organizacyjnych. Czasami aparat "nawalał" i trzeba go było reperować domowymi sposobami. "Kuzyn" nie zrażał się żadnymi trudnościami i łączność stale była utrzymana.

Po pewnym czasie trzeba było zmienić miejsce zamieszkania. By jednak nie przerywać łączności ppor. "Kuzyn" zwlekał z ostatecznym wyjazdem. Tymczasem "Gestapo" zaczęło rozpinać sieć dokoła radiotelegrafisty.

Pewnego razu, krótko po północy, gdy ppor. "Kuzyn" był na poddaszu przy pracy, nadając depesze do Londynu, posłyszał na dole hałas i krzyk staruszki, właścicielki mieszkania. "Kuzyn" szybko zorientował się, co się dzieje. Przyśpieszył tempo nadawania, wystukując ostatnie słowa depeszy w niezrozumiałym dlań szyfrze. Zadanie musi być wykonane.

Gdzieś w W. Brytanii odbierający tę depeszę — radiotelegrafista — musiał się dziwić, co stało się, że ten, tak zawsze spokojny i dokładnie nadający, tym razem pracuje tak nerwowo . . .

Gdy na schodach załomotały ciężkie kroki "Gestapowców" i rozległy się głosy w języku niemieckim, ppor. "Kuzyn" jednym ruchem podpalił notatki. Dla niego nie było drogi ucieczki. Nie było innej drogi wyjścia z poddasza jak schody, po których szli już Niemcy.

Uderzenia pałką i kolbami pozbawiają go przytomności. W ostatniej jeszcze chwili przebiega mu radosna myśl: niczego nie znajdą.

Gdzieś w W. Brytanii odczytano jego depesze. Brakowało tylko paru ostatnich słów. Radiotelegrafista daremnie starał się na nowo wywołać stację. "Kuzyn" nie zgłaszał się . . .

Jak tyle już razy w historii, żołnierz polski, walcząc o Polskę — walczył także za Francję. Równocześnie jednak, również jak tyle razy już w historii, żołnierz francuski walczył i ginął obok żołnierza polskiego. Historia ostatnich walk podziemnych we Francji potwierdziła tę prawdę. Ileż to razy Polacy z P.O.W.N. ratowali Francuzów z F.F.I. — i na odwrót.

W szeregach polskiej organizacji podziemnej znaleźli się też Francuzi i Francuzki. Jedna z nich była "Françoise", która oddała P.O.W.N. duże usługi i była wtajemniczona w szczegóły organizacyjne.

Któregoś dnia lipca b.r. "Gestapo" podczas jednej ze schadzek aresztowało "Françoise" w Paryżu. Niemcy za wszelką cenę chcieli wydobyć od niej nazwiska Polaków, należących do organizacji, "Françoise" odmówiła.

Zaczęły się tortury. Naprzód czterech mężczyzn rozebrało ją przy akompaniamencie wyzwisk, policzków i razów. Co chwila pytano ją, czy zdecydowała się złożyć zeznania. Gdy odmawiała — oprawcy zmieniali metodę. Zaczęto zanurzać ją w wannie z zimną wodą powodując zatamowanie oddechu. Gdy "Françoise" straciła przytomność przerwano "kąpiel".

Kiedy znów ocknęła się była już ubrana i zakuta w kajdanki. "Françoise" przewieziono teraz do innego lokalu. Tu w dalszym ciągu, zasypywana pytaniami, przeszła całą gehennę, począwszy od t.zw. chińskich męczarni, na uwiązania za nogi i ręce u sufitu oraz przypiekaniu stóp skończywszy.

Nieustraszona Francuzka nie załamała się. Drugiego dnia powtórzono tortury, które przeprowadzali mężczyźni różnych narodowości — również bez rezultatu. Zaproponowano jej milion franków nagrody za wyjawienie tajemnic P.O.W.N. — odmówiła. W końcu Françoise stanowiła już tylko cień postaci ludzkiej, została przeniesiona do szpitala więziennego, gdzie zrobiono jej prymitywne opatrunki. Dopiero po czterech tygodniach odwiedził ją po raz pierwszy lekarz, niosąc również — wolność, niestety nie na długo.

"Françoise" po kilku dniach zmarła.

Te kilka fragmentów walk żołnierzy P.O.W.N., które mogliśmy ujawnić świadczy wystarczająco o duchu poświęcenia i służby, który przepajał szeregi tej organizacji.

Żołnierze P.O.W.N., a z nimi wychodźstwo polskie we Francji spełnili ten sam obowiązek, którym kieruje się żołnierz Armii Krajowej i żołnierz walczący we Włoszech, czy w Holandii, którym kieruje się lotnik polski czy marynarz. Obowiązek, który nakazuje walczyć, dopóki na ziemi ojczystej znajduje się choćby jeden okupant. Walczyć — bez oglądania się na koniunktury, bezkompromisowo, na wszystkich frontach. Taka jest postawa Kraju, która nas wszystkich na emigracji obowiązuje. Jest to również nakaz polskiej racji stanu. Państwo, którego ziemia jest pod okupacją, które pozbawiono normalnych atrybutów — jedynie przez walkę jej synów i córek może głosić światu, że istnieje nadal, że chce istnieć, że z woli tej nie zrezygnuje.

Równocześnie ci dzielni żołnierze P.O.W.N., w przeważającej mierze rekrutujący się z emigracji od lat osiadłej we Francji, dowiedli jak potężną siłą jest polskość, której nikt ani nic zmóc nie może.

Hasło wypisane na sztandarze jednej z organizacji polskich we Francji: "Idziem do Ciebie, Polsko, Matko nasza" przemieniło się w czyn. Emigracja polska we Francji idzie wierna, gotowa na ofiary — ku Ojczyźnie.

Walki i czyny P.O.W.N. stanowią też nowy wkład polski — wcale poważny — do ogólnej sprawy Sprzymierzonych. Zwalczanie skuteczne "bomb latających", grożących Londynowi, atakowanie przed inwazją niemieckich linii komunikacyjnych, sianie niepokoju na terenach, na których miały się rozegrać ważne operacje wojenne, rozluźnianie dyscypliny i zwartości szeregów armii niemieckich, dostarczanie cennych informacyj wojskowych i tyle innych dokonań — miało swe znaczenie dla Sprzymierzonych.

Żołnierze P.O.W.N. działając na terenie Francji, współpracując z francuskim ruchem podziemnym i przyczyniając się w pewnym stopniu do wyzwolenia Francji zacieśnili węzły braterstwa broni łączące od lat Francję i Polskę.

"Dans un même combat nous avons fait plus qu'un pacte d'alliance, — un pacte d'amitié. L'ennemi, qui nous sépare sur le terrain, nous a une fois de plus rapproché dans les cœurs".

Tak pisał w czasie gorących dni walk jeden z najwybitniejszych przewódców podziemnego ruchu wojskowego Francji do szefa akcji wojskowej P.O.W.N. pułkownika "Daniela". Wierzymy, że te uczucia Francji Walczącej wobec Polski Walczącej nie przeminą i znajdą swój wyraz w dalszych stosunkach obydwu krajów.

WITOLD LEITGEBER

Polacy z P.O.W.N. na ulicach Paryża w sierpniu b.r.



Z notatnika

w Belgii i Holandii

—Pojedzie pan dzisiaj z "medium" — mówi dowódca Pułku.

—Co to znaczy "medium"? — zapytuję, nie wiedząc czy ma na myśli człowieka, czy może nowy jakiś gatunek czołga.

—Medium to kierowca naszego "łazika", nazywa się z nazwiska Lato, ale już o nim nie mówimy inaczej, tylko "medium".

—A to czemu na przykład?

—A to od czasu, kiedy bardzo grzali Niemcy ze wszystkich stron, a ja do kierowcy Lato pod ogniem powiadam, żeby go podeprzeć na duchu: — Jak się czujesz Janek? A on: — Ja to jestem medium, panie pułkowniku. — Bój się Boga Janek, a cóż to znowu znaczy? — "Medium" to znaczy: *not too happy, not too sad.* Że niby w miarę.

Wyjątkowy Polak, muszę przyznać. Bo umiar nie był nigdy narodową cnotą Polaków. Raz pną się na szczyty entuzjazmem i ambicją, to znów skłonni są dotykać dna rozpaczy — w środku nikt nie chce siedzieć. I dlatego: niech nam żyje "medium"!

* * *

Na granicy belgijsko-holenderskiej. Szlaban wprawdzie otwarty, ale stoi przy nim jeden z naszych chłopców, mina rozweselona, spojrzenie bystre, tylko uśmiech i hełm nieco na bakier, jakieś chytre zamiary knuje".

—Paszport pan porucznik ma?

—Co znowu? Paszport?

—Albo jest granica, albo jej nima. A tu granica właśnie, panie poruczniku!

A kiedy wyczerpał cały sens tego figla, który płatał każdemu z przejeżdżających, powiada:

—Jednego to bym nie chciał. To być teraz strażnikiem celnym na tej granicy. Taki to patrzy i widzi: co pięć minut granda. W tę i we w tę mu jeżdżą — a on nic zrobić nie może. Bezsilny. Nawet o paszport nie ma prawa spytać. Pokojowy wymysł te granice. Dzisiaj nikt sobie z tego nic nie robi i też ludzie żyją . . .

* * *

Żołnierze innego oddziału twierdzą natomiast: najgorszą rzeczą jaka człowieka może spotkać, to być saperem w Holandii. Więcej wody, niż stałego gruntu. Lepiej się od razu przenieść do marynarki. A najlepiej do podwodnych, żeby człowieka w ogóle przestali widzieć.

* * *

Od czasu zdobycia niemieckiej barki przez . . . Pułk Strzelców Konnych, nazwa tego pułku zmieniona została nieoficjalnie na . . . Pułk Strzelców Wodnych.

Porucznik, który łódź zdobył i pływał na niej, ma tytuł kapitana wielkiej żeglugi. Starszy strzelec został starszym marynarzem. Pułk czeka na przydział ścigaczy, kontrtorpedowca i żaglówki.

* * *

Kiedy Walentynowicz wyznał, że między swoimi zapasami posiada butelkę koniaku, który zachowuje na czarną godzinę, sanitariusze . . . ułanów poczęli mu zgodnie tłumaczyć, że już nie może być gorzej, niż jest — i przynieśli korkociąg.

* * *

Wtajemniczeni opowiadają, że wyjście Niemców z Antwerpii odbyło się w szczególnych warunkach. Mogli miasta bronić długo i zaciekle, w oparciu o forty, bomby i kanały. Ale posiadali wiadomości o istnieniu terrorystów wewnątrz miasta. Tak długo jak będą mieli do czynienia tylko z nimi — wszystko w porządku, myśleli. Ale jak w dodatku natrą Anglicy — może być źle.

Jeden z dowódców rozpoczął na własną rękę oczyszczanie swojej dzielnicy z terrorystów. Niemcy w innych dzielnicach, słysząc strzelaninę, wzięli ją za znak zbliżania się Aliantów i bojąc się połączonych niebezpieczeństw okrążenia oraz terrorystów, cichaczem opuścili miasto.

Przesłuchują niemieckiego jeńca. Jest rozgadany i chętnie odpowiada na pytania. Bardzo rad, że już w niewoli.

—A o tajnej broni Hitlera słyszałeś?

—Słyszałem, oczywiście.

—A co to takiego?

—A to, proszę pana, te nogi, na których uciekamy.

* * *

Jest w pułku rozpoznawczym oficer, który miał niezwykłą przygodę. To ten, do którego strzelała kukurydza. "Strzelają do mnie" meldował. W broni pancernej ważną jest rzeczą wiedzieć, z czego niedobry wróg strzela. Czy przypadkiem nie z pepanców, bo to groźne.

Więc też następne pytanie brzmi: — Z czego?

Odpowiedź brzmiała właśnie: — Z kukurydzy.

* * *

Podeszliśmy do czołgu, opuszczonego w buraczanym polu, przed pierwszą linią.

Pancerz popruty jak szyba, dwa uderzenia pocisku 88 rozerwały mu bok. Trafiły w komorę amunicyjną: wybuch. Dowódca, młodziutki podporucznik wyskoczył z poszarpanymi nogami, z popaloną twarzą. I jeszcze jeden z załogi. Trzech spaliło się w środku.

Zaglądam do wnętrza tego okopconego czołgu, który jest grobem trzech ludzi. Niekształtna czarna masa zgorzelizny. Kości ręki przy siedzeniu kierowcy. To wszystko.

Podporucznik, kiedy wyskoczył, jedno tylko powtarzał do sanitariuszy: — Nie patrzcie na mnie, bo muszę strasznie wyglądać.

Obok wypalonego czołgu zatykają właśnie koledzy w tej holenderskiej ziemi zbity z desek krzyż, na którym wypisano nazwiska trzech polskich żołnierzy. Na krzyżu, zamiast hełmu, słuchawki czołgowego radia.

* * *

Belgowie z Gitz i z Thielt'u uczcili pamięć żołnierzy polskich poległych w walkach o oswobodzenie ich miast, wydając święte obrazki z odpowiednimi napisami. Na jednym z nich, poświęconym Ignacemu Walasowi czytamy:

"Największym okazaniem miłości bliźniego, jest oddanie własnego życia za niego. W moim życiu ziemskim walczyłem za dobrą sprawę i za łaską Boską zasłużyłem na koronę niebieską. Ignacy, dobry przyjacielu, Twoja krew złączyła nieprzerwanymi więzami wdzięczności naród z Gits, który uwolniłeś. Nasze modły płynąć będą wiecznie za spokój Twej duszy".

Pogrzeb polskiego żołnierza był wielką manifestacją przyjaźni polsko-belgijskiej.

Nazwiska siedmiu ułanów z . . . P. Ułanów figurują na drugim obrazku z napisem:

"Katolickie miasto Thielt dziękuje Bohaterom Katolickiej Polski w święto Narodzenia Matki Bożej /8 września 1944/, którzy swe życie oddali podczas oswobodzania naszego drogiego miasta, poświęconego Świętemu Sercu".

* * *

Nie policzyłem zwierząt, które wyszły do boju z . . . Dywizją. W zmotoryzowanej oczywiście nie ma mowy o koniach, chyba o benzynowych. Ale są psy. Niektóre wiezione ze Szkocji, maskoty i przyjaciele załóg, inne przybłąkane i oswojone na miejscu, we Francji. Są także psy czołgowe, wskakujące do niego jak do swojej psiej budy, przywykłe do huku silnika i znoszące nieźle huk dział.

Ale najdziwniejszym stworzeniem, jakie wylądowało z Dywizją na kontynencie Europy — była dzika kaczka. Wychowana przez jednego z żołnierzy, przybiegała na gwizdek, łaziła za nim na swoich kaczych łapach. Miało z nią wojsko sto pociech. Wabiła się Izydor. Podobno świetnie się zachowywała pod ogniem. Było z nią jednak tyle kłopotu, że ją właściciel zostawił na którejś francuskiej wsi.

Przyjaciele zwierząt pamiętać zechcą, że Baśka Murmańska miała swojego odpowiednika w postaci Izydora Normandzkiego. I żałować, że także tej kaczki nie wykorzystali korespondenci . . .

* * *

Przy jednym z jeńców niemieckich znaleziono w czasie rewizji kartkę od przyjaciela, datowaną ósmego sierpnia z Warszawy. Pisał do niego na front zachodni: "Nie życzę wam doświadczyć tego, co my tu musimy znieść. Walki uliczne z Polakami są rzeczą straszną. Wielu naszych towarzyszy poległo i niewiadomo jeszcze co będzie. Jesteśmy odcięci. Mamy jedynie wódkę i papierosy . . . "takiej mniej więcej treści był ten dokument, pisany w ósmym dniu powstania warszawskiego. Cenne zaiste świadectwo Niemca, które przeszło przez wiele rąk w Dywizji. Ale potem ugrzęzło w czyjejś kieszeni, zostało załączone do jakichś aktów, może przepadło w archiwach? — faktem jest tylko, że się świat o nim nie dowiedział. Szkoda.

* * *

Między żołnierzami . . . Dywizji Pancernej, których wojna przyzwyczaiła do używania kryptonimów dla każdej jednostki, biorącej udział w akcji, krąży tymi czasy następująca opinia: w komunikatach SHAEF'u kryptonim, oznaczający . . . Polską Dywizję pancerną brzmi: zależnie od sytuacji: Pierwsza Armia Kanadyjska, albo Druga Armia Brytyjska, albo krótko, ale szeroko: Alianci!

ALEKSANDER JANTA

Druk ulotny wydany przez Holendrów

† TOT ROEMVOLLE EN VROME GEDACHTENIS VAN DE POOLSCHE SOLDATEN

† KU CHWALE I CZCI PAMIECI ZOLNIERZY POLSKICH

s. p. WOJCIK WOJCIECH
OSZMIANSKI
KWIATKOWSKI ANDRZEI

die op den heugelijken Donderdag 7 September 1944 voor de bevrijding van Oostnieuwkerke hun jeugdig leven offerden in heldhaftige liefde	*poleglych pamietnego Czwartku dnia 7 wrzesnia 1944 i w bohaterskim poswieceniu oddali swe mlode zycia za wolnosc Oostnieuwkerke*
Wat waren wij blij toen gij bij ons zijt gekomen, duurbare vrienden, die zoo lang reeds werd verwacht!	Jak wielce szczesliwi bylismy, gdyscie do nas przyszli, Drodzy Przyjaciele, czekalismy na was od tak dawna.
Wij danken U: aan uw heldenmoed zijn wij onze bevrijding verschuldigd.	*Dziekujemy wam:* za wasza bohaterska odwage, ktorej zawdzieczamy nasza wolnosc.
Wij bewonderen U: kinderen van een groot volk dat strijdt, reeds zoolang, voor outer en haard tegen machtige vijanden.	*Podziwiamy was:* dzieci Wielkiego Narodu, ktory zmaga sie od tak dawna z poteznym wrogiem walczac o wolnosc swych rodzin i ognisk.
Wij beminnen U: fiere zonen van 't katholieke Polen en wenschen dat uw zoo duurbaar Vaderland spoedig zijn vrijheid en onafhankelijkheid herovere.	*Kochamy was:* dumni synowie Polski Katolickiej i zyczymy wam aby wasza ukochana Ojczyzna odzyskala jaknajrychlej swa wolnosc i niepodloglosc.
Wij bidden voor U: opdat het offer van uw leven u moge de eeuwige hemelglorie verwerven; voor uw geliefde familie opdat zij getroost worde; voor uw land opdat het verrijze in roem, grootheid en vrede.	*Modlimy* sie za was aby wasze bohaterskie poswiecenie zapewnilo wam niesmiertelna chwale niebieska ukoilo bol waszych rodzin a Ojczyznie waszej przynioslo chwale, pokoj i wielkosc.
Onze Lieve Vrouw van Czestochowa bid voor uw duurbaar volk.	*Mstko Bosko Czestochowska wstaw sie za lud swoj, Ci wierny i oddany.*
Druk. Albert Pauwels, Oostnieuwkerke	

ku czci poległych żołnierzy Dywizji Pancernej

Gość na bombowcu

Mojej siostrze — Irenie.

Przekraczaliśmy brzeg właśnie.
Janek trzymał kurs na Ruhrę.
Księżyc świecił coraz jaśniej,
brodził srebrny w chmurach.

Wtem w maszynie coś się pali,
taki odblask, że aż strach . . .
Romek po gaśnicę wali,
węsząc, gdzie się kopci grat.

Mówi wreszcie do pilota,
że ktoś obcy wsiadł,
i że stąd ta jasność złota,
od przybysza bije blask!

— Czyś zwariował? Kto mógł wsiąść?
— ryczy Jasio znów.
— Kiedy najwyraźniej widzę:
stoi trochę przygarbiony
w "wieży astro" z brodą gość . . .

— Niechaj będzie pochwalony! —
brzmi w słuchawkach starczy głos.

Na to Józek — ogonowy,
chłop spokojny i pobożny,
odpowiada: pochwalony,
ktoś jest gościu nasz wielmożny?

— Jam Mikołaj, wasz znajomy;
od najmłodszych lat
odwiedzałem wasze domy,
pod choinki-m dary kładł . . .

Dźwięczy w uszach cichość głucha,
nikt nie mówi, każdy słucha . . .

— Ależ święty Mikołaju —
wreszcie któreś rzekło —
proszę z nami tam nie lecieć,
tam nas czeka istne piekło . . .

Gdyby tak coś . . . nie daj Boże,
będą strzelać . . . strącić mogą . . .
jakże Święty z nami pragnie
hulać aż tak śliską drogą . . .

Na to Starzec się uśmiechnął
dobrotliwie, słodko
i do mikrofonu szepnął:
— Nie nawalaj złotko . . .

A radiota zawstydzony,
do rozrzewnień skory,
oczy zwrócił w "astro" stronę
i powiedział: "sorry" . . .

— Nic nie szkodzi — odrzekł Święty,
nie przeszkadzać sobie w pracy,
jak cel będzie osiągnięty,
proszę, dajcie znać chłopacy.

I wyciągnął się na łóżku
i po chwili zmógł go sen.
Od chrapania drżała broda
ślicznie biała — tak jak len . . .

Reflektory tuż przed nami,
stożek jeden, drugi, trzeci,
artyleria zdołu wali . . .
Jakże żółwio czas tu leci.

Jasio z "Wellingtona"
wprost myśliwca robi,
gruba "Krysia" podniecona,
świetnie radzi sobie.

— Popatrz Janek jak strzelają!
Ten chłop nerwy ma ze stali,
odpowiada najspokojniej:
— chcesz by jabłka ci rzucali? . . .

Uśmiechnąłem się pod wąsem
i celownik mój się śmiał,
że słów kilku miłym pląsem,
pilot komuś szkołę dał.

A tymczasem już w oddali
Essen płonie — "target" nasz,
Jasio w skręt maszynę wali,
wrzepia "Krysi" pełen gaz.

W lewo . . . w prawo . . . dobrze . . .
dość . . .
— naprowadzam go światłami —
i w tej właśnie chwili ktoś
czuję, że mnie pcha łokciami.

Cóż za żarty, do cholery,
kto mi lizie tu?!
Obejrzałem się i nagle . . .
. . . zbrakło w piersi tchu;

Do bombowej instalacji
czołga się Staruszek święty.
Lica płoną w egzaltacji,
ręka drżąca wyciągnięta
chwyta za spustowy "switch."

— Pozwól — mówi — że tej nocy
ja im poślę c i ę ż k i e dary!
I tak czule spojrzał w oczy,
żem odmówić nie miał sił.

Pomyślałem sobie — czary!
czyżbym w niebie był?
Łapię się za usta,
nos, szczypię — boli —
nie śnię znaczy . . .

A tymczasem Święty
nad celownik się gramoli
i w to piekło na dół patrzy,
i zaciera ręce obie.

Później szepce mi do ucha:
— Źle wiaterek nastawiony,
a ż ćwierć stopnia jest różnicy,
zaraz to poprawię sobie . . .

Więc tłómaczę się jak żak:
. . . te ćwierć stopnia . . . światło złe . . .
Na to Święty daje znak,
bym przybliżył się
i ku memu zawstydzeniu
mówi: — Szybkość także źle!

Ja dopiero zrozumiałem,
choć wstyd kłuł mnie w kościach,
jaka jest precyzja w ziemskich,
a w niebiańskich dokładnościach . . .

— No, skończyłem nastawianie.
Teraz, bracie, patrz jak trzeba
sprawiedliwie, najdokładniej
wykonywać sądy NIEBA!

Jedną ręką dzierży "switch,"
drugą brodę podtrzymuje
i fachowo, najfachowiej
samolotem manewruje.

Krzyknął wreszcie słowo: b o m b y ! ! !
W żyłach moich skrzepła krew;
słowo grzmiało to jak trąby,
które wieszczą BOŻY GNIEW.

Starzec skończył swoje dzieło,
patrząc w ogień, sapał . . .
To mnie tak za serce wzięło,
żem się mało nie rozpłakał.

— Dobry, Święty Mikołaju,
przez dwadzieścia młodych lat,
W noc grudniową się zjawiałeś,
jak najlepszy brat.

Przez te ciężkie lata, znojne,
nie widziałem ciebie
i sądziłem, że w czas wojny,
ty zostajesz ciągle w niebie . . .

Kiedyś we śnie siostra moja
tak naiwnie zapytała:
— czy odwiedzał cię Mikołaj,
Ircia dawno nie widziała.

Tłómaczyłem wtedy małej,
że Świętemu trudna droga,
chciałby pewnie z duszy całej,
nie dopuszcza przemoc wroga.

Do mnie także nie przychodzi,
chociaż jestem wolny,
tylko . . . cóż . . . ja nie mam domu,
żyję niby ptak ten polny . . .

Lecz przyszedłeś jednak panie,
o, stokrotne dzięki!
— głos zdusiło w piersi łkanie,
do Świętegom przywarł ręki . . .

— Już nie długo, drogi synu,
drzewko w domu twym zapłonie,
a ty będziesz wśród rodziny,
miast na "Wellingtonie" . . .

Rozdzwoniło mi się w duszy
jakieś cudne granie . . .
Nagle, oczy blask zaprószył.
Gdy przetarłem, Święty znikł . . .

— Hallo Mietek! Hallo Mietek!
Czemu nie wyłazisz?
Przecież bomby już zrzuciłeś,
na co się tam gapisz?
Może złapał ciebie sen?

— Nie, nic Jasiu, już O.K.
— źle dopływał t l e n . . .

Anglia, w grudniu 1942.

MIECZYSŁAW PAWLIKOWSKI

Książki o wojsku i o wojnie

Porucznik Herbert po angielsku

Uważam za swój obowiązek usprawiedliwić się na samym wstępie tych uwag, że mieszam się do nie swoich rzeczy. Książka, której chcę poświęcić parę słów laika, jest książką lotniczą. *"Żądło Genowefy"* pióra Porucznika Herberta* wydane zostało w języku angielskim i stąd tylko wiedzie się mój tytuł do zabierania głosu w tej sprawie; że zaś niemal równocześnie pojawiła się u tego samego wydawcy "Szkoła Orląt" Janusza Meissnera** pozwoliłem sobie wpleść parę słów, albowiem wydaje mi się, że autora "Szkoły Orląt" i autora "G for Genevieve" łączą jednak pewne stosunki pokrewieństwa.

"Żądło Genowefy" jest opowiadaniem o zmiennym napięciu: są w niej rzeczy przyjemnie gawędziarskie, są opisy pełne dramatu. Całość jest bardzo "czytelna" dzięki właśnie temu umiejętnemu dawkowaniu napięcia; książki nie obciąża nadmiar patosu. Porucznik Herbert daleki jest zarówno od uczuciowej szarży, jak sentymentalnego mazgajstwa. Jego opowiadanie jest bardzo męskie, opanowane, przemawia ono własną dynamiką, nie ucieka się do retuszu słownego. Nie trzeba dodawać, że te właśnie walory opanowanej narracji szczególnie zalecały przełożenie książki na język angielski.

Dobra książka polska ma powodzenie nawet na emigracji /i będzie miała jeszcze przez dłuższy czas, albowiem polskie "rozproszenie" nie zostanie tak szybko wchłonięte przez falę powrotu do Kraju/; rynek dla książki polskiej istnieje nadal, co więcej, rozszerza się a nie kurczy. Otworzyła się obecnie Francja, gdzie gromada polska jest wcale liczna; dane statystyczne są zawodne, przeprowadzenie dokładnej rejestracji niemożliwe, ale domysły na temat siły żywiołu polskiego we Francji mówią o 800 tysiącach a może nawet więcej. Otworzyła się obecnie dla dopływu polskiej książki Szwajcaria, gdzie przebywają dalej polscy żołnierze w obozach internowanych. Środkowy Wschód, Afryka Wschodnia, Meksyk — oto inne rynki zbytu dla polskiej książki. Powinno się robić wszystko, ażeby zachęcić produkcję naszej książki, ażeby mogły wychodzić nie tylko przedruki, nie tylko dzieła dawnej literatury, ale ażeby nasza literacka emigracja miała sposobność pisać i wydawać. Pisanie bez możności wydawania nie jest rzeczą zabawną i na pewno nie działa jako ostroga w stosunku do autorów. Porucznik Herbert należy do tych szczęśliwych autorów polskich, których rzeczy zawsze "idą". Najlepszym dowodem jest fakt, że "Żądło Genowefy" rozeszło się w ciągu niespełna dwóch miesięcy i że gdyby był zapas papieru — największy wróg naszej produkcji książkowej — na pewno poszedłby drugi nakład.

Mam nadzieję, że Porucznik Herbert rozwinie w nowej książce tematy tej wojny; na łamach "Polski Walczącej", doskonale się rozwijającego pisma "W Drodze" /wychodzącego w Palestynie/, w "Nowej Polsce" w Londynie, pojawił się już niezły pęk jego opowiadań. Można by złożyć z tego spory tom i na pewno Porucznik Herbert, który jest człowiekiem pracowitym i zapobiegliwym stworzy w mig nową książkę polską. Jak słyszę, książka ta pojawi się może jeszcze w tym roku równocześnie w wydaniu polskim i angielskim co — trzeba przyznać — było by rekordem szybkości i sprawności.

"G for Genevieve" w przekładzie angielskim zaleca się przyjemną formą zewnętrzną /rysunki Horowicza/ i na pewno będzie się podobać; w Stanach Zjednoczonych wydała ją firma *"Roy"*, czyli stara nasza warszawska znajoma: "Rój" /przez jakiś czas firma ta podpisywała się *"Rój in Exile"*/. *"Roy Publishers"* okazała się imprezą pożyteczną i ruchliwą. Sukces książki Kossak-Szczuckiej o św. Franciszku /polski tytuł "Bez oręża", angielski "Błogosławieni cisi,"/ oraz wydanej świeżo książki Jana Karskiego o Polsce Podziemnej — dowodzą, że dobry produkt zawsze znajdzie drogę do serca i umysłu czytelnika. *"Roy"* wydał i wydaje szereg rzeczy polskich, co jest najlepszym uczynkiem kulturalnym na obcym terenie; wydawanie takich czy innych broszur propagandowych, finansowanych ciężko wypracowań-marnot czy wypracowań-miernot, wydawało mi się zawsze wątpliwym zabiegiem. Najlepszą polityką propagandową jest i pozostanie: popieranie rzeczy wartościowych, wydawanie książek świadczących, że autorzy polscy należą do Europy, że myślą oni kategoriami "normalnymi", że potrafią pisać i wyrażać swój sąd.

"G for Genevieve" wydane zostało w Stanach przez *"Roy"* w odmiennym przekładzie, aniżeli książka wydana w W. Brytanii. Nie rozporządzam odpowiednimi wycinkami, ażeby stwierdzić jak reagowała prasa amerykańska i jaki był sąd krytyków w USA, ale wiem, że rzecz miała powodzenie i że przemówiła do publiczności. W W. Brytanii po "Eskadrze 303" Fiedlera, rzecz Porucznika Herberta jest drugą polską pracą mówiącą o dorobku naszego lotnictwa, o jego zawiłych odyssejach i przeprawach; o ile "303" Fiedlera jest całością opisową, Porucznik Herbert polega na narracji, snuje wątek. Obie książki uzupełniają się w pewnym sensie, albowiem Porucznik Herbert daje tło rozwoju naszego lotnictwa przez swoje wstępne uwagi o wędrówkach naszych pilotów przez granice i obce kraje do Anglii.

Dla polskiego czytelnika "Szkoła Orląt" będzie miłym przypomnieniem tak bardzo popularnej książki. Siedm wydań to nie bagatela i świadczy to najlepiej o powodzeniu "Szkoły"; ale rzecz ta miała nie tylko wzięcie u czytelnika — wywarła ona głęboki wpływ na umyśle młodego pokolenia w Polsce. Napisana jeszcze w r. 1929 wyrażała ona rozmach i wolę rozbudowy i udoskonalania, która wybuchała w niepodległej Polsce z tak piękną nieraz siłą; "Szkoła Orląt" jest wyrazem tych ufności, które zrobiły wiele a mogłyby zrobić jeszcze więcej, gdyby los zechciał obdarzyć Polskę jeszcze dwudziestoma chociażby latami pokoju.

"Szkoła Orląt" przepojona jest twórczym optymizmem; jest to powieść szczerze sportowa — zjawisko tak rzadkie w naszej literaturze — wyrażająca prostymi słowami pochwałę sportu, pochwałę dla sportowego wysiłku. Jest w tej książce cenna dynamika, doskonała oszczędność słów, żywa zdolność kreślenia wizerunków ludzkich. Chciałoby się powiedzieć, że ta doskonała książka wyrosła jakby z ducha angielskiego; jest w niej coś z energii Kiplinga, coś z prostoty pisarzy angielskich.

Styl Meissnera jest szczególnie godny pochwały. Jest on barwny, plastyczny, bardzo obrazowy. Unika jednak przesady, unika zawiłości, która tak poważnie zaciążyła na naszych młodych autorach; styl Meissnera zdąża prosto do celu, wie czego chce, jest świadomy. Stanowi on prawdziwe wytchnienie po czytaniu utworów rozmaitych naszych pisarzy, którzy uważają, że zawiłość jest oznaką głębi, że gadulstwo jest wyrazem uczoności czy psychologicznej wiedzy. Ta nieszczęsna wada naszej literatury, która to wada jest "wiecznym zmartwieniem" czytelnika — i, dodajmy, wypacza jego sposób myślenia — daje o sobie znać na kartach niejednego utworu ogłaszanego na emigracji. Nawet wojna nie nauczyła pewnych pisarzy prostoty, oszczędności języka, ograniczania swojej nieokiełznanej wymowy.

"Szkoła Orląt" pojawi się, jak słychać, po angielsku. Sądzę, że jest to celowe; pokaże to czytelnikowi angielskiemu rasową polską powieść sportową. Znajdzie ona echo u młodych czytelników angielskich.

Przypuszczam, że Porucznik Herbert będzie szczerze rad z sukcesu swojego kolegi po piórze — Janusza Meissnera.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

**"G for Genevieve" by Flight-Lieutenant Herbert, Polish Book Depot, Edinburgh,* 1944. *Stron* 185.

***Janusz Meissner: "Szkoła Orląt". Powieść. Wydanie VIII /poprawione/. Składnica Księgarska, Edinburgh,* 1944. *Stron* 260.

Kącik językowy

/pani M.M., Londyn, S.W.7/ Bardzo proszę o udzielenie mi wyjaśnienia na temat następujący: w zasadach pisowni polskiej z r. 1936 *czytamy, że formy "bym, byś, by . . ." pisze się łącznie z osobowymi formami czasownika. Otóż nie wiem, czy w zwrotach n.p. "należałoby zatem" lub "mogłoby się zdawać" czasownik traktować jako wyraźnie nieosobowy i wobec tego pisać "by" oddzielnie, czy też traktować go jako formę osobową /trzecia osoba liczby pojedynczej rodzaju nijakiego/ i pisać razem.*

—Zdaniem naszym w podanych przez Panią przykładach rozstrzyga nie znaczenie, lecz forma koniugacyjna. Ponieważ czasowniki "należało", "mogło" zostały użyte w trzeciej osobie, przyrostek "by" należy pisać razem. Natomiast wyrazy, które nie są formami osobowymi /mimo znaczenia czasownikowego/, należy pisać rozdzielnie, n.p.: można by, trzeba by i t.p.

/M.W. P/75/: Kiedy używa się jego, *a kiedy* swego?

—Swego *używą się, gdy posiadanie, wyrażone przez ten zaimek, odnosi się do podmiotu zdania;* jego, *gdy posiadanie odnosi się do jakiejś innej osoby. Przykład: "Nie zabrałeś swojego kapelusza". Co to znaczy? To znaczy n.p. że "ty, Staszku nie zabrałeś swego własnego kapelusza". Natomiast: "Nie zabrałeś jego kapelusza" znaczy, że "Ty, nie zabrałeś kapelusza Janka.*

Skrzynka pocztowa

O KSIĄŻKĘ DLA ŻOŁNIERZA W POLU I W SZPITALU

Szanowny Panie Redaktorze,

Nawiązując do listu w "Dzienniku Polskim" z dn. 22-go listopada, który raz jeszcze stwierdza, że żołnierz polski w szpitalu nie ma co czytać, muszę stwierdzić, że podobnie nikt zdaje się nie myśleć i nie dbać, aby mu udostępnić książkę polską, kiedy jest w polu.

Czy tak trudno o polskie książki? Czy tak trudno o pieniądze, aby je kupić? Czy może są i książki i pieniądze, a niedomaga tylko inicjatywa i organizacja. Niestety, wydaje się, że raczej właśnie te ostatnie elementy.

Istnieją bowiem książki i są pieniądze, nie tylko w Anglii, ale także w Ameryce, w New Yorku. Książki Sienkiewicza, Kossak-Szczuckiej, Lechonia i Wierzyńskiego i pieniądze Czerwonego Krzyża, leżące na koncie w banku, a pochodzące najczęściej z darów Polonii Amerykańskiej. Książki natomiast leżą na składzie firmy "Rój" /dawniej na Kredytowej w Warszawie/ i nudzą się, nieczytane. Nie wolno ich przywozić do Anglii i sprzedawać na miejscu, ale można kupić je tam i za tamtejsze pieniądze i wysyłać wojsku, jako dary.

Wystarczy jeden telegram z decyzją połączenia sprawy owych pieniędzy ze sprawą polskich książek, na które popyt wśród żołnierzy byłby równy chyba głodowi polskiego słowa, jaki panuje wśród Polaków we Francji. Dla wielu z nich książka polskiego autora stanowi dzisiaj jedyny dokument namacalnego związku z ojczyzną.

Nie wolno go nikomu odmawiać w dzisiejszych czasach.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy najgłębszego szacunku.

Wojciech Budzik

LIST Z WŁOCH

Szanowny Panie Redaktorze,

Gdy w maju z Venafro pisałem list do Wiktora Budzyńskiego, wspominając o tęsknocie do słowa drukowanego, nie śniło mi się nawet, że on ten list wyblackoutuje, że na łamach "Polski Walczącej" pojawią się apele, że będzie zbiórka, sortowanie, pakowanie, wysyłka i że w październiku książki z Anglii znajdą się w skrzyneczce z *beefu* lub *premu* — gdzieś we Włoszech. Zapał i dobra wola cuda zdziałać mogą i zdziałały.

Po wypoczynku na stanowiskach wyczekiwania, gdzie nie byliśmy zbytnio skrępowani, znaleźliśmy się znów w akcji frontowej, przykuci do cudem znalezionego domostwa — rozkazami, straszliwym błotem i ciemnościami coraz dłuższych nocy. W te długie wieczory zbierają się chłopaki w centrali, gdzie stoją stoły i pali się etatowa lampa żarowa i czytają książki z niepozornej skrzyneczki oraz periodyki, które na mój adres nieprzerwaną strugą przesyła stary przyjaciel Ludwik Bojczuk. Czytają starzy i młodzi, prostaczkowie i "uczeni", szarża i machora.

Choć w kącie mozoli się czwórka nad szlemikiem, a czasem inni martwią się czy dopłacić na kolor lub blef, jednak atmosfera tych wieczorów jest naprawdę czytelniana. Jestem pewien, że pulchne lica Wiktora i Ludwika promieniałyby, a jasne oczy zza okularów redaktorskich wodziłyby przyjaźnie po tej *ad hoc* stworzonej świetlicy frontowej.

Niech więc świadomość, że gdzieś na froncie włoskim w wolnych chwilach żołnierze pewnej baterii z pożytkiem dla ducha dyskontują wasz trud i starania, będzie podzięką dla Was.

Kończę życzeniami dalszej owocnej pracy i żołnierskim "czołem".

Adam Lach

LIST FRANCUZA

Szanowny Panie Redaktorze,

Jeden z podchorążych oddziałów polskich w Szkocji otrzymał list od swego przyjaciela, *rodowitego Francuza*, walczącego w szeregach 1-ej Dywizji Pancernej, z którego wyjątki bez żadnych zmian załączam. Jestem zdania, iż przytoczone fragmenty listu zasługują w zupełności na opublikowanie.

Łączę koleżeńskie pozdrowienia

Stanisław Błaszczak

Gdzieś we Francji . . . niedziela 27.VIII.44.

Mój Drogi i Kochany W . . . wie.

1-go sierpnia wieczorem stanąłem nogą na terenie Francji. Wylądowaliśmy niedaleko Caen. Het na morzu gdy jeszcze nie było widać brzegów, usłyszeliśmy grę armat z odcinka Caen — był to miły słuch a groźny. Nocą mieliśmy urozmaicenie w postaci pięknej iluminacji na niebie spowodu odwiedzin szwabskich, ale pociesz się — nie wrócił żaden z nich do swych baz. Później pojawiły się dwa za dnia. Piękny był widok walki i słupy dymu unoszące się ku niebu na kilkadziesiąt metrów z pogorzelisk ich cielsk. Za dnia nie latają już, były to jedyne samoloty w dzień, które widziałem . . .

. . . dumny jestem, że mam zaszczyt być w szeregach Pierwszej Dyw. Panc. Czyn, który ta dywizja tutaj dokonała, przejdzie do historii wszystkich orężów świata — jeszcze raz Polacy pokazali co umieją, jednym słowem sprawiono szwabom drugi Grunwald i psie pole. Dnia 8 sierpnia wyruszają pułki pancerne do ataku na wschód od Caen — zadanie: dojście do Falaise oddalonego o 20 klm. Już pierwsze uderzenie jest furią — długi zagon w linie obronne szwabów, po dwu dniach dwie linie przerwane.

Straciłem w walce na drugiej linii obronnej drogiego drucha i kolegę z St. Andrews, ppor. Wnęką, który poległ na polach Normandii.

19-go sierpnia Dywizja otrzymuje zadanie zamknięcia drogi do Falaise. 1-szy p. panc i 10 p.s.k. zamykają drogę szwabom przez połączenie się z Amerykanami w Chambois, lecz zostają otoczeni przez Niemców. Bój trwa dwa dni, bój decydujący, aprowizacje otrzymują za pomocą samolotów. Nasze serca biją mocno czy wytrzymają. Amerykanie uznają dowództwo 10 p.s.k. nad sobą, jest ich jedna kompania. Następuje rzeź Niemców. Dziś jest już tydzień po tej strasznej bitwie, a jeszcze nie wszystkie trupy Niemców pochowane. Przez pole walki trzeba przejeżdżać w maskach, a trupy odgarniano pługami dla przejścia wozów.

Trzy dywizje S.S. nacierały na garstkę Polaków i polegli z ich ręki, ta garstka Polaków rozbiła kwiat armii Hitlera, zniweczyła linię obronną Sekwany, otwarła bramy Paryża, umożliwiła lądowanie na południu Francji i zbliżyła armie sojusznicze do granic Niemiec. Gdy nasi zostali otoczeni, wzięto do niewoli niemieckiego generała. Z butą on powiedział: "zobaczymy niedługo, kto tu będzie w niewoli". Znał plany, ponieważ sam je układał. Wiedział, że ma 12 dywizji, w tym 3 pancerne S.S. Po stoczonej bitwie drżał, jak liść osiki — jego słowa były: "Dlaczego nie kazałem się przebijać o dwie mile w prawo, a na pewno uratowałbym gros tych sił omijając Polaków . . .

. . . po tygodniu znów ruszamy, tęskno za hukiem armat, których tu nie słychać, tylko warkot motorów warsztatu i naprawy sprzętu. Cudów dokonujemy w naprawach, wszystko wychodzi jak spod igły. Wkrótce znów będziecie słyszeć o nas, ale już nie będzie drugiego Chambois, gdyż takie bitwy stacza się raz na wiek. Kanadyjczycy, którzy dotarli do Polaków, ujrzeli ich w okrwawionych koszulach. Nazwali to pole walki "Pole czerwonych koszul", a Polaków na rękach prawie nosili . . .

W SPRAWIE HISTORII UŁANÓW KRECHOWIECKICH

Szanowny Panie Redaktorze,

Na skutek artykułu w nr. 33 "Polski Walczącej" z dnia 10/8 b.r., pozwalam sobie podać skrót "Zarysu Historii p. Ułanów Krechowieckich", opracowanego przez ś.p. płk-a Jana Litowskiego i rtm. dypl. Władysława Dziewanowskiego a wydanej przez Biuro Historyczne M.S. Wojsk w Warszawie; p. Ułanów powstał z oddziałów konnych Legionu Puławskiego, pierwszym organizatorem i dowódcą pułku w Rosji był ś.p. płk. Bolesław Mościcki, następnie w niepodległej Polsce zorganizowałem pułk ja w 1918 r. i dowodziłem nim do końca wojny 1920 r., a jednocześnie jestem najstarszym Krechowiakiem, gdyż barwy pułku noszę blisko 30 lat.

Oficerem pułku był i jest płk. Karol Anders, a gen. Władysław Anders organizował 15 p. Ul. Wielkopolskich, a w 1 p. Ułanów był przejściowo kilka tygodni w roku 1917.

Powyższe sprostowanie, które uprzejmie proszę umieścić w druku, podaję ze względów zasadniczych w przeświadczeniu, że Wodza Naczelnego mylnie poinformowano, ale przemówienie Wodza Naczelnego, być może nie stenografowane, a podane z pamięci przez korespondenta wojennego, przechodzi do historii, gdzie nieścisłości nie mogą mieć miejsca.

Niewątpliwie gen. Anders przede wszystkim odwołałby wzmiankowane niedokładności, gdyby dotarł do niego powyższy numer gazety.

Feliks Dziewicki

Rusapa, 29/9 1944 r. Afryka,
Southern Rhodesia,
Polish Settlement.

SPROSTOWANIE DO SPROSTOWANIA

Szanowny Panie Redaktorze,

Do źródłowego wyjaśnienia p. Lidii Ciołkoszowej p.t. "Jak zginął Stefan Okrzeja" /nr. 47 "Polski Walczącej" z 25.XI.44/ zmuszony jestem uczynić drobną poprawkę.

Nazwisko ober-policmajstra warszawskiego z r. 1905 brzmiało nie "Nelken", ale "Nolken", ściśle: baron Nolken, służący, ale nigdy stale nieosiadły w Warszawie. Pomyłka zaszła prawdopodobnie dlatego, że w Warszawie istnieje dobrze znane nazwisko rodziny Nelkenów; przed obecną wojną nosił je n.p. bardzo ceniony i zasłużony lekarz. Tym bardziej jednak omyłka /która mogła też wyniknąć z niewyraźnego napisania głoski/ powinna być sprostowana, żeby nie łączyć w pamięci ludzkiej tak niepodobnych do siebie rodzin i ludzi.

Mam nadzieję, że autorka sprostowania nie weźmie mi za złe tej poprawki.

Przy sposobności i z racji rocznicy powstania listopadowego zwrócę uwagę na spotykaną w artykułach wielu osób błędną pisownię "Paszkiewicz", zamiast prawidłowej "Paskiewicz", gdy chodzi o rosyjskiego zdobywcę Warszawy w r. 1831, późniejszego namiestnika Królestwa Polskiego, obdarzonego przez wdzięcznego monarchę tytułem "Książe Warszawski Hrabia Paskiewicz-Erywański", które to nazwisko, dźwięczące wspomnieniem przewag bojowych, odziedziczyli wraz z majoratem Homel i godnością "Swietłost" jego potomkowie w primogeniturze. Splendory te przetrwały do rewolucji r. 1917.

Sam feldmarszałek Paskiewicz był z rodu kozakiem; z szeroko w Polsce znanym nazwiskiem Paszkiewicz nie miał nic wspólnego, chociaż właściwy sens miana — *patronymicum* od Paweł, w zdrobnieniu Paszko lub Pasko — jest niewątpliwie ten sam.

Łączę koleżeńskie pozdrowienia.

Antoni Bogusławski

ZUŻYTE ZNACZKI NA CELE DOBROCZYNNE

W Polsce zbierało się zużyte polskie znaczki pocztowe na "Murzynków". Czy nie miałaby zastosowania taka akcja obecnie, jako źródło choć najskromniejszych dochodów na cele, których mamy sporo?

Józef Szczuka

CZYTELNICY "POLSKI WALCZĄCEJ" DLA JEŃCÓW POLSKICH W NIEMCZECH

Sekcja Pomocy Jeńcom Wojennym Stowarzyszenia Społecznej Służby Kobiet Polskich podaje do wiadomości ofiarodawców, że z darów na "paczki od serca" ogłoszonych w nr. nr. 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 41 i 43 "Polski Walczącej" wysłano 273 paczki żywnościowe /à 10sh./. Imienna lista tych, do których wysłano paczki jest do przejrzenia dla zainteresowanych w Redakcji "Polski Walczącej".

Na pomoc Warszawie: £1,316

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU ZWIĄZKU DZIENNIKARZY R.P. NA REPORTAŻ BOJOWY

Zarząd Związku Dziennikarzy R.P. komunikuje, że w dniu 24-go listopada b.r. odbyło się w Londynie, w lokalu P.A.P. "Światpol", posiedzenie Jury Konkursowego, w składzie pp: Z. Nowakowski, T. Terlecki, A. Płodowski, B. Wierzbiański.

Jury przyznało nagrody następującym pracom:

1/ Nagroda Wodza Naczelnego £30 reportaż p.t. "Przez pryzmat peryskopu" — pseudonim "Dionizy Dmuchawa"

2/ Nagroda Ministra Obrony Narodowej £25 za reportaż p.t. "Rzut oka na Paryż" — pseudonim "Sen nocy letniej"

3/ Nagroda Ministra Informacji i Dokumentacji £20 za reportaż p.t. "Kres odwrotu" — pseudonim "Jan Olcza"

4/ Nagroda Światowego Związku Polaków z Zagranicy za reportaż p.t. "Nasza pierwsza bitwa" — pseudonim "Fela-h"

5/ Nagroda Związku Dziennikarzy R.P. £15 za reportaż p.t. "Spotkanie z 303" — pseudonim "Dubhe"

6/ Nagroda Funduszu Kultury Narodowej £10 za reportaż p.t. "Pierwszy dzień Brygady" — pseudonim "Sindbad Żeglarz".

Po otwarciu kopert, okazało się, iż pod pseudonimami kryją się autorzy:

Dionizy Dmuchawa — Przemysław Guzowski,

Sen nocy letniej — Stefan Łaszkiewicz,

Jan Olcza — Eugeniusz Romiszewski,

Fela-h — J. Karol Krótki,

Dubhe — Bolesław Pomian,

Sindbad Żeglarz — Stefan Łaszkiewicz,

Polski Czerwony Krzyż, zwraca się z gorącym apelem do wszystkich Rodaków, by zamiast tegorocznych życzeń Świątecznych i Noworocznych, zechcieli nadsyłać datki dla "Rannego Żołnierza" lub "Na Pomoc Dla Kraju".

Redaktor "Polski Walczącej",
W załączeniu przesyłam £1 /słownie: jeden funt/ z przeznaczeniem dla Dzieci Warszawy, w imieniu Mrs. N. Muddyman, "Oak Field", 719, Pershore Rd., Selly Park, Birmingham 29.

Proszę przyjąć należne wyrazy szacunku

Plut. podch. A.Z.

* * *

Przesyłam 10/- /słownie: dziesięć szylingów/, które ze szpitala przesłał na moje ręce ppor. G.J. z prośbą o przekazanie tych pieniędzy na "Pomoc Warszawie".

Świetliczarka Baonu Spad. T. Barbara

* * *

Plut. P.St. przesyła w załączeniu £2.10.0 dla głodnych dzieci Warszawy.

* * *

Zamiast kwiatów na trumnę ś.p. porucznika artylerii sędziego dr. Władysława Ścisłowskiego pacjenci szpitala Gallowshill Hall składają £1.17.0 na pomoc mieszkańcom Warszawy.

Szanowny Panie,
Bardzo serdecznie dziękuję za tak życzliwe ustosunkowanie się do mojej prośby. Niestety okazało się, że pomyliłam się i na fotografii, którą Pan mi przysłał, nie znalazłam mego męża.

Niemniej przeto fotografię zatrzymuję, o ile nie ma Pan nic przeciwko temu, a tytułem zwrotu kosztów fotografii i przesyłki załączam 10 szylingów na pomoc Warszawie, zgodnie z życzeniem Pana.

Z poważaniem

Krystyna Lubieniecka

* * *

Na fundusz pomocy Warszawy składam £2 w dniu urodzin mego ojca.

Iza Ajgengold

* * *

Przesyłam w załączeniu P.O. na kwotę £1 z przeznaczeniem na fundusz Pomocy Warszawie.

Kwota powyższa została znaleziona w jednej ze świetlic i mimo kilkakrotnych ogłoszeń nikt nie przyznał się do zguby.

Oficer opieki

Przesyłam bezimiennie sh.10 na pomoc ludności Warszawy.

* * *

Dear Sir,
Madame Kukiel has given me your address, and tells me you are organizing a Warsaw Fund. Like so many others in this country, I am grieved and horrified at the tragedy that has culminated in these last months, and I wish it were possible for me to send a larger contribution to the fund than the small cheque of £2.2.0 which I enclose.

Elleanor Breese

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £11.19.0 /słownie: jedenaście funtów, dziewiętnaście szylingów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £1,316.4.5½ /słownie: tysiąc trzysta szesnaście funtów, cztery szylingi, pięć i pół pensa/.

FUNDUSZ WDÓW I SIERÓT PO POLEGŁYCH ŻOŁNIERZACH 14-ej WLKP. DYW. PIECH.

Redakcja "Polski Walczącej",
W załączeniu przesyłam P.O. na sh.10 na Fundusz Wdów i Sierót po poległych żołnierzach 14 Wlkp. D.P.

Z poważaniem

I.F.K.

NA POLISH CHILDREN RESCUE FUND

Redakcja "Polski Walczącej"
w Londynie,
Kierownictwo i słuchacze kursu ofic. gospodarczych przesyłają £3 na gwiazdkę dla biednych polskich dzieci wywiezionych z Polski do Francji.

Kierownik Kursów mjr. N.

Dear Sir,
I am enclosing a British Money Order, nr. CJ845337 for £9 /nine/, and would like to thank all those who have contributed so generously for "The Polish Children Rescue Fund".

Yours sincerely,
J. Pinińska
Sunny-Side, Sandy Cross,
Heathfield, Sx.

Zbiórka książek

Przesyłam książki, które prosiłbym skierować do Armii Polskiej we Włoszech. O ile byłoby możliwe, chciałbym aby były przesłane pod adresem mojej macierzystej jednostki C.M.F. 183.

Załączone: J. Kwiatkowski: "Litwinka", J. Grajnert: "Marcin Mrąga", G. Olechowski: "Rycerz", A. Dygasiński: "Jarmark na Ś-ty Onufry", Sewer: "Dla Świętej Ziemi", "Perła Genui", ks. J. Mard: "Irma".

* * *

Pan Redaktor "Polski Walczącej",
W dniu 15.VIII. b.r. przesłałem paczkę książek /przesyłką kolejową/ z biblioteki żołnierskiej . . . Kompanii Saperów do dyspozycji Pana Redaktora dla Polaków znajdujących się poza granicami W. Brytanii, a najbardziej potrzebujących "książki polskiej".

Z poważaniem

W.N., mjr.

WALNE ZEBRANIE ZWIĄZKU DZIENNIKARZY R.P.

Zarząd Związku Dziennikarzy R.P. zawiadamia wszystkich Kolegów Dziennikarzy, iż Walne Zebranie Związku odbędzie się w Londynie, w dniach 7 i 8 grudnia b.r., w lokalu Ogniska Polskiego, 45, Belgrave Square, S.W.1.

Koledzy, którzy wezmą udział w zjeździe, proszeni są o zawiadomienie o tym Sekretariat Związku, w terminie możliwie najbliższym, na adres Polish Union of Journalists, c/o Polish Press Agency "Światpol", 45, Belgrave Square, London, S.W.1.

Minister Obrony Narodowej zawiadomił Związek Dziennikarzy, iż zgadza się na udział w zjeździe Kolegów, pełniących służbę wojskową. Do dowódców poszczególnych rodzajów broni wysłane zostało pismo Min. Obrony Narodowej L.dz.3953 /W.Pol/44 z dnia 7-go listopada b.r. prolecające udzielenia ułatwień w udziałę w Zjeździe.

Ogólny program Zjazdu przewiduje:

7-go grudnia: godz. 5.30 — przyjęcie wydane przez Zarząd Związku Dziennikarzy R.P. dla władz polskich, dziennikarzy zagranicznych oraz polskich. 8-go grudnia: godz. 9.30 rano — nabożeństwo żałobne za Kolegów Dziennikarzy zmarłych i poległych w czasie wojny, godz. 10.30 — 11-ta — weryfikacja członków, godz. 11 — 13-ta — obrady, godz. 13-ta — 14.30 — przerwa, godz. 14.30 — 16.30 — obrady, godz. 16.30 — 17.15 — wspólny podwieczorek, godz. 17.15 — dalsze obrady.

"THIS WAS WARSAW"

Od chwili wybuchu powstania warszawskiego istniała potrzeba wydania jakiejkolwiek książki lub broszury, którąby dawała Brytyjczykom obraz przedwojennej Warszawy, jej wielkomiejskiego charakteru i piękna jej architektury. Brak ten częściowo usunęła ostatnio książeczka ilustracyjna "This was Warsaw" — 35 happy photographs" /cena 3/9/ z przedmową Antoniego Bogusławskiego, doskonale trafiającą w czar i nastrój stolicy.

WERINAJSEK

. . . ŚMIEJMY SIĘ — BO KTO WIE CZY WOJNA POTRWA TRZY TYGODNIE . . .

PO ZMIANIE RZĄDU



Londyński św. Mikołaj . . .

W KOMPANII DOWODZENIA

—Wy w jakiej sprawie, pyta szef nowoprzybyłego strzelca.
—Ja z pisman do kompanii dogodzenia . . .

SERDECZNA RADA

—Niech mi pan doradzi. Jutro wybieram się do naszych rannych, ażeby ich słowem pocieszyć. Jaką im zrobić niespodziankę?
—Niech pani zadepeszuje: "Z powodu choroby , odkładam przyjazd" . . .

POWIEDZONKO

W Ameryce znani byli "kidnaperzy". Obecnie, w związku z kradzieżami samochodów na terenach zajętych przez Amerykanów — mówi się o "jeepoperach" . . .

NIESZCZĘŚCIA CHODZĄ PO LUDZIACH



—To pan był ranny w Holandii?
—Nie, tylko ciężar spadł mi . . . wydałem córkę i na weselu zwichnąłem nogę . . .

TYTOŃ I WOJNA



—Panie kapitanie, proszę o odkomenderowanie do Szkocji. Ja już nie mogę patrzeć na te palące się domy! . .
—Boicie się?
—Nie, tylko jak widzę, że się palą domy, to mnie się chce palić! . . .

CO KOMU PRZYNIÓSŁ ŚW. MIKOŁAJ? . . .

Radzie Narodowej — paczkę pigułek: "Osiem gruczołów" . . .
b. min. Kotowi — kopię filmu p.t.: "Przeminęło z wiatrem" . . .
b. min Stańczykowi — całuski z firmy "Kwapiński i S-ka" . . .
prem. Arciszewskiemu — książkę p.t.: "Anglia — wyspa nieznana" . . .
red. Szererowi — hulajnogę . . .
ppor. czasu wojny — przepowiednie na temat zakończenia wojny . . .
emigracji cywilnej — kłębki stalowych nerwów . . .

PROSTA ODPOWIEDŹ

—Wie pan, to jest zdumiewające, jak mógł utrzymać się przez pięć lat redaktor "Polski Walczącej"? Do jakiej partii on należy???
—Do wojskowej! . . .

KOMUNIKAT PÓŁOFICJALNY

W związku z "szalejącą grypą" w Londynie, rozpoczęły się urlopy wypoczynkowe. Objawy grypy są "nagminne" . . .

RZECZY CIEKAWE, ZABAWNE I POŻYTECZNE

Czy wiecie . . . ?

1/ Jak długo ważny jest patent angielski?
2/ Czy temperatura wrzenia wody jest zawsze ta sama?
3/ Wiele waży powietrze w średnio wielkim pokoju /6 × 4 ×3 metry/? a/ Parę gramów, b/ parę kilogramów, c/ paręset kilogramów, d/ parę ton.
/Odpowiedzi znajdują się na końcu tego kącika./

Jak donosi *Punch*, niemieckie ministerstwo propagandy wydało krótką historię wojny. Jednak nie tak krótką, jakby dr. Goebbels chciał.

/d/

Ktoś zapytał raz Rodina, słynnego rzeźbiarza francuskiego, który rzeźbił popiersie Shaw'a, czy model jego mówi po francusku.

"Monsieur Shaw ne parle pas bien; mais il s'exprime avec une telle violence qu'il s'impose!"

/d/

Odpowiedzi:

1/ 16 lat od chwili wniesienia podania.
2/ Nie. Temperatura wrzenia zmienia się nieznacznie zależnie od ciśnienia atmosferycznego.
3/ Około 150 kilogramów.

/d/

OSZCZĘDNOŚCI JEDNO-SZYLINGOWE

—Nie mogę sobie darować — mówi jeden z rodaków w Londynie — że nie wpłacałem składek do mojego stronnictwa.
—Dlaczego?
—Dzisiaj może chodziłbym z teczką . . .

OPIEKA W WOJSKU

Żartobliwie mówi się wśród żołnierzy, że najrealniejszą "opieką" nad żołnierzem jest modlitwa: — "Kto się w opiekę" . . .

NOWA PISOWNIA KANADYJSKA



—John, zdaje mi się, że to miasto zajęli już wcześniej Kanadyjczycy . . .
—Sądzisz?
—No tak, nie umiesz czytać po kanadyjsku?

Tekst i rysunki: TONY

SPIS RZECZY:

WYDAJE BIURO OPIEKI NAD ŻOŁNIERZEM MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową — sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową — sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — sh.20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy — 2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portugal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.

